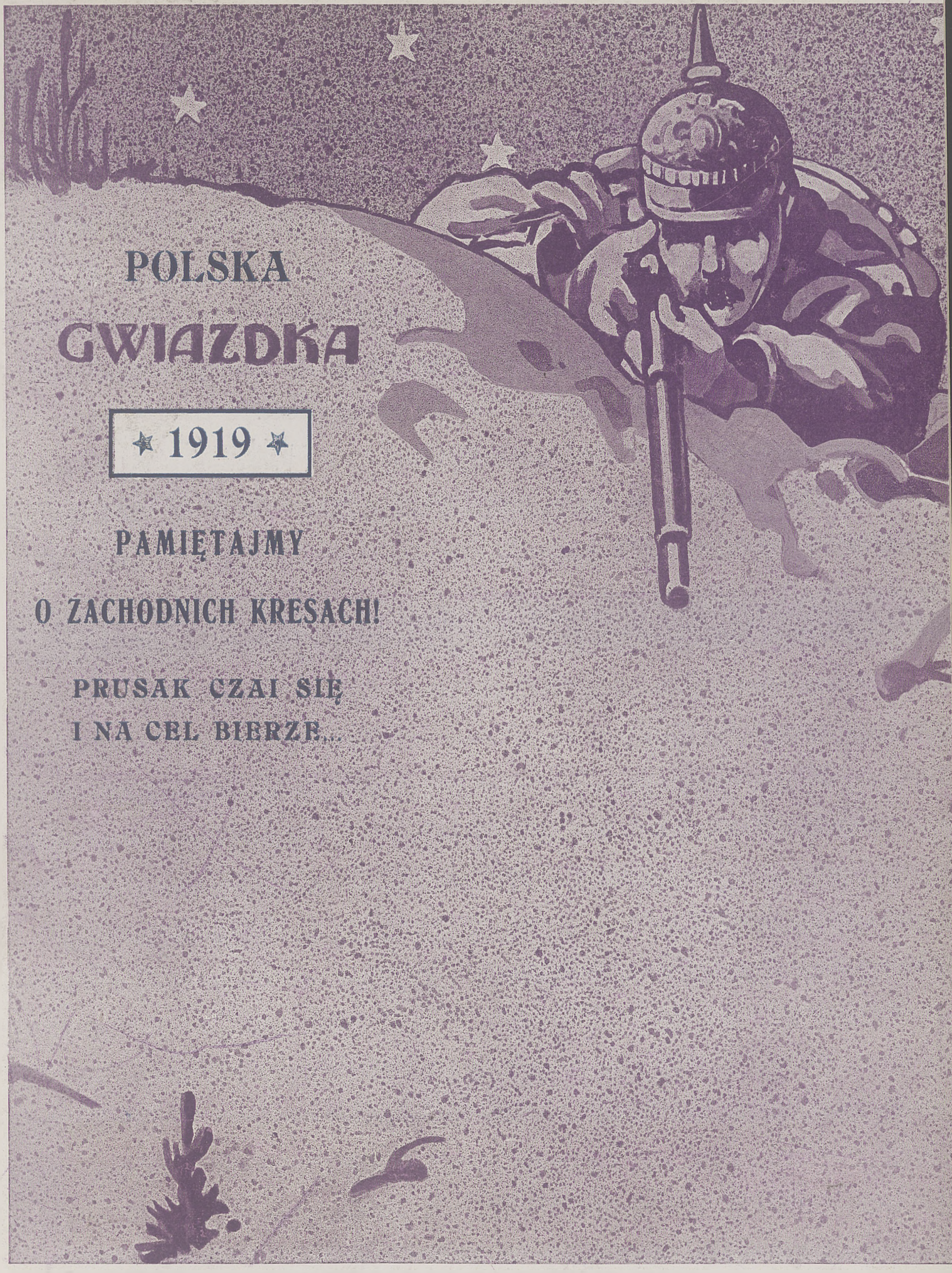


ILUSTRACJA POLSKA

DWUTYGODNIK „PLACÓWKA" dawniej „WIEŚ I DWÓR"

Treść zeszytu XVIII-go.

W tekście liczne ilustracje.

Okładka według rysunku A. Dzierzbickiego.

ROK VIII. WARSZAWA, DNIA 24 GRUDNIA 1919 ROKU. ZESZYT XVIII

ILUSTRACJA POLSKA
„PLACÓWKA"
(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK.



Wojciech Kossak. Po opatrunku.

Dar autora na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża.

Z „Salonu Sztuki" S. Kulikowskiego. — Fot. A. Masłowski.



Leonard Winterowski.

Utarczka z bolszewikami.

Z „Salonu Sztuki" S. Kulikowskiego. — Fot. A. Masłowski.

Artur Oppman (Or-Ot).

W NOC BOŻEGO NARODZENIA.

(Fragmenty ze sztuki, która w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia ukaże się na scenie Teatru Polskiego).

Podajemy poniżej kilka fragmentów z nowej sztuki Artura Oppmana (Or-Ota) p. t. „W noc Bożego Narodzenia“.

Znakomity poeta, którego serce tak gorąco i głęboko odczuwa bohaterską i ofiarną służbę żołnierza polskiego, stworzył szereg postaci, odzwierciadlających najszczytniejsze uczucia, przenikające dzisiaj zbiorowe serce narodu. Postacie te ukażą się po raz pierwszy na scenie polskiej, a włożone przez poetę w ich usta płomienne wyrazy, niecić będą niewątpliwie zapał szlachetny wśród słuchaczów.

Obok figur ze świata polskiego, jak „Huzar i Małgorzatka“, „Dziecko lwowskie“, „Robotnik śląski“ i „Marynarz polski“, Or-Ot wyprowadza także na scenę dzielnego zwycięzcę w tylu krwawych bitwach na Zachodzie, francuskiego „Poilu“, przypominając tem odwieczne braterstwo broni francuskiej i polskiej.

Wdzięczni autorowi za udzielenie nam poniższych fragmentów, zwracamy uwagę kolegów wojskowych na widowisko, które szczególny będzie miało powab dla żołnierzy. (*Przyp. Red.*).

DZIECKO LWOWSKIE.

O, mamo! Otrzyj oczy,
Z uśmiechem do mnie mów...
Ta krew, co z piersi broczy,
Ta krew, — to za nasz Lwów!
Ja biłem się tak samo,
Jak starsi... Mamo... chwal...
Tylko mi ciebie, mamo...
Tylko mi Polski żal...

Z prawdziwym karabinem
U pierwszych stałem czat...
O, nie płacz nad swym synem,
Że za Ojczyznę padł...
Z krwawą na kurtce plamą
Odchodzę dumny w dal...
Tylko mi ciebie, mamo...
Tylko mi Polski żal...

Mamo... czy jesteś ze mną?
Nie słyszę twoich słów...
W oczach mi trochę ciemno...
Obroniliśmy Lwów!...
Zostaniesz, biedna, samą...
...Baczność! Za Lwów! Cel! Pal!...
...Tylko mi ciebie, mamo...
Tylko mi Polski żal...

ROBOTNIK ŚLĄSKI.

Na ziemi od krwi grząskiej,
Na wysunięty szaniec,
Wszedł bronić kresów, śląski
Robotnik i powstaniec!
Świszcze grad kul u skroni,
On trwa ostatnim tchem:
Starego Śląska broni,
Piastowych polskich ziem!

Obdarci, głodni, nadzy,
Dni bojów już nie liczą!
Twarz w czarnej węgla sadzy
Krwią zlana robotniczą!
Trupy, jak łan, się kładą,
Na Śląsku krew i kir,
Przekupstwem, nożem, zdradą
Krzyżacki walczy zbir!

Patrz, Polsko! Jak samotnik,
Czekając dnia wielkiego,
Umiera twój robotnik,
Robotnik jutra Twego!
I podłe rwąc okowy,
Woła pod zorzy wschód:
Niech żyje Śląsk Piastowy!
Niech żyje śląski lud!

MARYNARZ POLSKI.

Pod wolnych nieb przestworzem,
U kresów dzierżąc straż,
Powieje znów nad morzem
Prastary sztandar nasz!
Bałtyku szumne fale
O gdański biją brzeg,
A okręt mknie wspaniale,
Jak w Jagielloński wiek!

O, morze! Wielkie morze!
Daleką przeszłość wskrześ!

Pod najcudniejszą zorzę
Okręty polskie nieś!
A kędy żagle zwiną
U obcych światów dróg,
Niech ludzkie nędze zginą,
Niech zapanuje Bóg!

Ucicha jęk twej ziemi,
Ostatnie gasną łzy,
Znów jesteś swój ze swemi,
Kaszubski ludu ty!
Tyranom i mocarzom
Żelazna zwisła pięść...
Szczęść, Boże, marynarzom!
Polskiemu morzu szczęść!

HUZAR I MAŁGORZATKA.

Muzyka: „Tam na błoniu..."
1812 r.

MAŁGORZATKA.

Tam z za góry w cwał przez jary,
Na wojenkę mkną huzary,
Cud chłopaki,
Cud wojaki,
Każdy buzi wart!

W srebrne trąbki dmą trębacze,
Aż mi w piersiach serce skacze,
Na armaty
Lecą chwaty,
Śmierć — to dla nich żart!

HUZAR.

Małgorzatko! Dziewczę lube,
Po laur jadę, nie po zgubę,
Hej, dziewczyno!
Hej, jedyno!
Jeden uścisk daj!

Wielki cesarz Bonaparte
Przeszedł Wisłę, przeszedł Wartę,
Przemoc djablą,
Zwalczył szablą,
Wolny będzie kraj!

MAŁGORZATKA.

Ja się w żalu nie utulę,
Na wojence świszczą kule,
Chłopczykowi,
Kochankowi,
Grozi wraży miecz!

HUZAR.

Małgorzatko! Nie chmurz czoła,
Trąbka wzywa! Polska woła!
Z woli nieba
Lecieć trzeba
Za Niemen, hen, precz!

MAŁGORZATKA.

A gdy zginiesz w złą godzinę?

HUZAR.

Gdy kraj zbawię, to niech zginę!
W błysk pałasza
Polska nasza
Wstanie z mojej krwi!

MAŁGORZATKA.

Jaśku miły! Bóg na niebie,
Dla Ojczyzny daję Ciebię!
Wracaj zdrowy...

HUZAR.
(Z za sceny).

W kraj lodowy
Rrzuć mi kwiat i łzy...
(Melodja „Za Niemen, hen, precz!")

POILU.

Wyśniłaś, Francjo, cudny sen,
Ojczyzno mężnych droga!
Twa marsyljanka grzmi za Ren,
W struchlałe grody wroga!
Znów ją uświęcił morzem krwi
Francuski Poilu!

Gdziebądź od wieków kipi bój
Za świętą wolność świata,
Tam, Francjo moja, sztandar twój
Nad bohatery wzlata!
I płaci życiem nowe dni
Ginący Poilu!

Nad narodami zorza mknie,
Radosne biją dzwony,
Ale, o, Francjo! groby twe
Bogatsze w serc miljony!
Legł za Ojczyznę... dumnie śpi
Twój młody Poilu!

A ty, Polaku, tyś mój brat,
My dwa płomienie bliźnie,
Strażnice jutra ma w nas świat,
W twojej i w mej Ojczyźnie!
Razem, jak zawsze, będziem szli
Polak i Poilu!

Tadeusz Karaziński, porucznik.

URODA WOJNY.

Trudno o bardziej posępne widowisko, niż obraz dnia dzisiejszego. Wielka wojna zostawia chaos, ruinę, niedolę. Psychiką zbiorową owładnęły depresja, znużenie, bezwład. Zalewają nas fale najpierwotniejszych, najnędzniejszych, najbardziej gminnych instynktów. Drzemały one dotąd zakute w głębinach dusz ludzkich, teraz w wstrząśnieniu wojny zuchwale wypływają na powierzchnię, obejmują kierunek życia. Zda się, iż wszystkie siły ducha: wytrwanie, dzielność, męstwo, wojowniczość, co w długie lata wojny utrzymywały w napięciu wysiłki walczących narodów—zanikły bez śladu. Lecz nie. Szemrzą one i grają w duszach walecznych: przeżycia bohaterskie zbyt silne wyryły tam ślady.

Lecz i wojownicy, porwani wirem rozprężonych instyktów, wpadają w zniechęcenie i bezwład. W chwili przeto powszechnego nawoływania do tchórzostwa, w chwili, gdy nasze rodzime prostactwo podnosi wrzask „precz z wszelką wojną", w chwili takiej dobrze jest wspomnieć o pięknie wojny. Niech to będzie porozumieniem wzajemnem dusz, w których nie zamarły iskry bohaterstwa. Dobrze jest wspomnieć o tem, że wojna nie tylko niesie ruinę, niedolę i upiory głodu, że wojna nie tylko jest „krwawą ofiarą", jak piszą ci, co godnie nawet służą narodowej sprawie *), że posiada wojna również i elementy wzniosłej prawdy i piękna.

Wydobyć z pod nagromadzonych zwałów ruiny i nieszczęścia dodatnie wartości wojny, ustalić je, poznać, można jedynie doszukując się, co ją łączy, co w niej jest wspólnego z życiem istotnem, bujnem, natężonem.

Przedewszystkiem czynnik życia nieodzowny, pobudka działania najgłębsza, instykt pożądania i rozkoszy niebezpieczeństwa osiąga w wojnie najwyższe swe szczyty. Przyjemność narażania się, igraszka zuchwała z niebezpieczeństwem, ta przesłodko i boleśnie ściskająca serce rozkosz wyzywania losu—oto uczucia znane każdemu żołnierzowi. Na polu bitew, w zdarzeniach wojennych rodzą się one w piersi żołnierza i żłobią trwałe rysy w jego psychice. Posiew takich chwil obfite w duszach wywołuje plony. Wytwarza się w sercach walecznych oswojenie z niebezpieczeństwem, dumna pewność siebie, natężenie życia fizycznego i umysłowego, śmiałość inicjatywy, pogarda dla niebezpieczeństw.

Lecz wojna nietylko żołnierzy, cały naród wciąga w tragiczne swe kolisko.

W chwilach pokoju na życie stojącego z bronią u nogi narodu pada zawsze cień niepewności, możliwości walki. Niebezpieczeństwo wychowuje. Niepozwala na beztroskie przeżuwanie życia, budzi energję i czujność. Wybuch wojny niebezpieczeństwo i ryzyko wyolbrzymia. Wznieca ono niezwykłe zasoby energji. Losy ojczyzny uzależnione są teraz od napięcia wszystkich sił, które grożące niebezpieczeństwo musi wydobyć, które istotnie wydobywa z piersi narodu.

To zrodzone w pożodze wojennej upodobanie ryzyka staje się siłą twórczą i w stosunkach życia normalnego. Filozof Guyau zowie przyjemność niebezpieczeństwa (le plaisir du risque) głównym bodźcem wszystkich władz życia, jednym z niezbędnych rysów egzystencji społecznej. Uważa ją nawet w swej teorji moralności za jedną z podstaw etyki, zdolną zastąpić nakazy obowiązku *). Istotnie niema poruszenia w ciele społecznym, któreby nie wymagało odpowiedniej dozy ryzyka, któreby nie powstało z przyjemności i wyzywania niebezpieczeństwa.

Podobnie działa i drugi organiczny składnik wojny: przyjemność walki.

Pożądamy walki, pragniemy zwycięstwa. Narażamy życie, pokonywujemy opory, częstokroć dla samej potrzeby walczenia. Rys to zdrowej, normalnej, mocnej natury ludzkiej.

Oczywiście w życiu społecznem instynkt ten przeobraził się, lecz nie zanikł. Rozwinął się zróżniczkował. Przestaje być walką z istotą fizyczną, jest borykaniem się z przyrodą, z trudnościami życia. Jednak w długich okresach pokoju instykta walki słabną, zamierają. I oto wojna, nawrotem do surowej, pierwotnej walki uczucia te nanowo rozpala, podnieca. Rozbudza żądzę walczenia, uczy smaku i rozkoszy zwycięstw.

*) „Gazeta Warszawska" № 236 art. p. Z. W.

*) M. Guyau. Esquisse d'une morale sans obligation ni sanction II-e partie.

Dzieje walecznych narodów licznych po temu dostarczą przykładów.

Jasnem jest przeto, iż wprowadzone w krew narodu pierwiastki ryzyka i walki są potężnym środkiem leczącym. Zwalczają gnuśną, ospałą, zrezygnowaną, zmożoną bierność, podniecają zadowoloną z siebie, opasłą, zasklepioną w codzienności, filisterską szczęśliwość. Lecz wojna kryje w sobie i inne uzdrawiające moce. Zniewieściałość, zanik energji, mdłe instynkta, wyczerpanie, czułostkowość—oto przejawy współczesnego życia, ponure odsłaniające horyzonty, grożące niebezpieczeństwem opanowania charakteru zbyt słabego i miękkiego. Wojna jest tutaj jedynym wałem ochronnym. Wymaga bowiem nadzwyczajnych wysiłków, wytrzymałości niewiarogodnej, wyrabia surowy, męski typ życia, niweczy osłabiające energję wpływy bólu, głodu, niewygód. Wtedy dopiero, mówi James, który poświęca wspaniałe myśli wojnie — „śmierć powszednieje i traci swą siłę paraliżowania naszych czynów. To usunięcie zwykłych otamowań wyzwala nowe pokłady energji i życie zdaje się być wyniesione na wyższe poziomy mocy.... Wojna jest jedyną szkołą bohaterstwa i życia silnego". *) Dorzućmy jaszcze jeden wpływ wojny na dziedzinę stosunków ekonomicznych i społecznych. Umiarkowanie w potrzebach, zadowolenie małem, te wszystkie tamy, co w życiu gospodarczem hamowały postęp i rozwój zostają zerwane.

Budzą się apetyty, pożądania, potrzeby nowe, umacnia się przedsiębiorczość, pomysłowość i wysiłki twórcze.

Widowisko przeto, jakie roztacza przed nami wstrząśnięty wojną naród jest wzniosłe i wspaniałe. Tony wojny poruszają do głębi zbiorową duszę; działają na nią, jak uderzenie gromu lub poryw huraganu. Dzwięczy w nich wielkość i bohaterstwo, złożone z genjuszu i odwagi, poezji namiętności i tragicznego heroizmu. Przeobrażona dusza narodowa wzbiera pełnią i bogactwem życia duchowego o potężnej sile i szerokiej rozlewności. Wszystko co w życiu jest poświęceniem, wzniosłością, krasą, tu czerpie swój początek.

Odsłania nam teraz wojna całą swą istotę. Czemże więc jest? Jest najwyższem natężeniem życia, jego szczytem, głębią, warunkiem trwania i mocy, jest samem życiem. To czyni ją użyteczną, niezbędną, płodną. Czyż z tego wynika, że należy nawoływać do wojny, pragnąć jej? Wszelkie rozprawy na ten temat będą bezpłodne. Czy zgodzimy się z Proudhonem, który w „La guerre et la paix", dziele jednem z najprzenikliwszych z pośród poświęconych wojnie, przeprowadza tezę, że antagonizm, walka, są zasadniczem prawem życia, że wszystko co w świecie jest nędznem, tchórzliwem, pozbawionem śmiałości serca i umysłu musi uledz uciskowi i zagładzie,—czy też wierzyć będziemy w powszechne braterstwo wszystkich synów ziemi—nie zmieni to niczego w surowej prawdzie życia. Nieubłagana twarda rzeczywistość uczy nas przyjmować wojnę jako fakt, jako zjawisko dane i zawsze możliwe. Przypomina, iż najbardziej pokojowy naród, wyzbyty doszczętnie z zaczepnej narodowej buty, wolny od wszelkich zaborczych instynktów, może być postawionym wobec konieczności walki.

Zagadnienie wojny i pokoju domaga się przeto właściwego ujęcia. Nie pożąda się przecież wojny dla wojny. Ceni się ją dla wartości w jakie zapładnia życie. Niech więc się przeobraża, uszlachetnia, zanika wreszcie. Pod jednym atoli warunkiem: muszą się wyłonić równie potężne, jak wojna siły, zdolne utrzymać na tym samym poziomie, w jednakiem natężeniu życie, zdolne odradzać instynkta walki i niebezpieczeństwa, nadawać charakterom moc i surową energję. Czy wytworzą się podobne siły?

Myśliciele, kochający piękno wojny, przerażeni jednak towarzyszącą jej grozą, szukają surogatów, któreby niczego nie uroniły z głębokiej jej treści. Proudhon wierzy, iż walka z fizycznej przeobrazić się może w walczenie z przyrodą, w wysiłki pracy, wymagające nie mniej stanowczości, poświęcenia, pogardy dla śmierci i rozkoszy. Według James'a ascetyzm mógłby dorównać wartości wojny. Są to oczywiście ideały odległej przyszłości.

Lecz czy już teraz lęk przed okropnością wojny hamować ma czyny nasze, nakładać na ręce pęta? Istotnie rozważanie, czy nabywane w wojnie wartości dorównywują płynącym z niej ruinie i niedoli—na niebezpieczne zawsze naprowadzi tory. Otwiera szeroko wrota dla instynktów niewolniczych, dla ciemnych sił duszy ludzkiej. Gdy na jedną szalę położymy męstwo, bohaterstwo, pełną urodę wojny, — to na drugą czyhające na dnie dusz naszych przerażenie i bojaźń rzucać będą, by przeważyć—nędzę, ruinę, rozpacz, głód. Lecz gdyby nawet czyny nasze powstrzymała trwoga, nie pozwoli nam ugrzęznąć w bagnie tchórzostwa, czatujący na każde osłabienie ducha,

*) W. Jemus. Doświadczenia religijne w. 1918 str. 338—340.



K. Wierusz-Kowalski. Wywiad.



Stanisław Bagieński. Ks. Józef pod Krakowem.

Z BOJÓW POLSKICH.



Wojciech Kossak. Włodzimierz Potocki, prowadzący własną baterję do ataku pod Raszynem



Wojciech Kossak. Przybycie jenerała Chłopickiego ze sztabem pod Grochów.

zaborczy wróg. Każdy bowiem naród postawiony między hańbą niewoli a grozą wojny, jeśli chce żyć, wybierze wojnę.

Przeto nic nie jest jeszcze straconem dla duchów walecznych. Jeśli instynkta bojowe własną mocą nie zawładną życiem, wkraczająca wojna wzmocni je, odrodzi, do władzy przywróci. Oto zamknięty krąg żelaznych praw rządzących życiem.

Zresztą, panujące obecnie nastroje niemocy, nie budzą zbytniego pesymizmu. Są raczej przejściowem znużeniem, chwilą odetchnienia, wieczornym cieniem po dniu pełnym blasku i walki.

Również grasująca wśród kulturalnych kręgów społecznych powszechna niechęć ku wojnie— jest tylko reakcją nadto wysilonych uczuć. Gdy wyczerpanie po zbyt gwałtownych, zbyt zużywających, zbyt długotrwałych trudach podrywa siły, na duszach narasta osad odrazy, niesmaku i wstrętu ku temu co pierwej było radością i rozkoszą. Zjawisko znane i przejściowe. Gorzej jest, że szerząca się psychoza opanowuje myśl, staje się panującym kierunkiem w ideologji, przelewa się w sztukę. Sięgnijmy do literatury po dokładne obrazy przeżywanej choroby duszy. Zola*), Maupassant*), obecnie Barbusse*) dostarczą jaskrawych i typowych przykładów tej odrazy ku wojnie.

Wśród powszechnej depresji i zawieruchy może jedynie przed narodem naszym jaśniejsze otwierają się drogi. Posiada on armję i prowadzi wojnę. Ta wojna ma dla nas wiośniany urok nowości. Przecież jest pierwszą prowadzoną samodzielnie i twórczo. Dotychczas koła wojny miażdżyły nasze życie, ukazywała nam ona tylko swe drugie oblicze, zionące grozą i zagładą.

Pierszą swą wojnę Polska musi wykorzystać, musi wydobyć z niej całą urodę, wszystkie wartości. Otoczmy przeto armję naszę miłosną opieką. Dokonywuje wszak codzień powtarzającego się cudu: przelewa w żyły narodu pierwiastki mocy i bohaterstwa.

---

*) Zola — La Débâcle, Maupassant — Sur l'eau, Barbusse — Le Feu i inne.

Eugenjusz de Henning Michaelis, generał-porucznik.

WOJSKOWA MYŚL POLSKA.

Przez wiek cały skazana była wojskowa myśl polska na niebyt; nie posiadaliśmy własnej armji, obce zaś, zajmujące Polskę, były nam wrogie, zamarła więc i dla pracy nad rozwojem ojczystej siły zbrojnej, odzwyczaiło się społeczeństwo od zrozumienia potrzeby obrony granic państwa, zapomniało o obowiązkach współdziałania obronie, ciążących na każdym obywatelu i obywatelce.

Tylko pole historyczne nie zarosło chwastami; wspaniałe czyny oręża polskiego, dokonane w czasie wojen napoleońskich i powstania listopadowego, przyciągnęły uwagę szeregu historyków, którzy dali nam kilka prac poważnych z tego okresu.

Skończył się jednak nasz letarg; istniejemy jako państwo, posiadamy armję która walczy bohatersko o byt Polski, ale wciąż żyjemy jeszcze cudzemi doświadczeniami wojennemi; organizacja wojska, wyszkolenie, taktyka — posiadają obce formy, nie jednolite nawet, gdyż żołnierz nasz skupił się pod godłem Białego Orła z różnych państw, z których każde posiadało w swoim ustroju wojskowym cechy swoiste, zastosowane do charakterów i obyczajów obcego nam narodu.

Czas już by nasza armja stanęła na własnych nogach; wojsko posiadać musimy, niechże ono będzie spoistem, jednolitem wewnętrznie, ożywionem zdrową myślą.

Wyrazem tej myśli jest w pierwszym rzędzie własna wiedza wojskowa; jest ona jeszcze w powijakach, ale rozwinąć się może, posiadamy pewne siły fachowe, należy je zogniskować, zorganizować i rozpocząć pracę twórczą; dokona tego świeżo założone towarzystwo wiedzy wojskowej— spadkobierca pewnych wartości naukowych, zapoczątkowanych w różnych ziemiach Polski.

Tam, gdzie się tworzyło wojsko polskie, rozpalały się wkrótce pierwsze ogniki polskiej wiedzy wojskowej, zapalone przeważnie przez młode, dzielne jednostki; paliły się te ognie w warunkach ciężkich, czerpały materjał przeważnie ze źródeł obcych, posiadały przeto pewne naleciałości tych środowisk wojskowych, wśród których istniały; tem nie mniej oddziałały one dodatnio na obudzenie ducha twórczego, rozpoczęły two-

rzenie współczesnego polskiego języka wojskowego, który zamarł na okresie z przed stu laty.

Najlepsze warunki do pracy tej istniały w Warszawie, ognisku kultury polskiej; staraniem benjaminków naszej nauki wojskowej powstał jeszcze za czasów niemieckich miesięcznik wojskowy „Bellona"; z początku silnie opanowany prądami niemieckiemi nie budził on poważnego echa w umysłach inteligencji wojskowej; stopniowo jednak przykra ta suggestja ustępuje i obecnie miesięcznik interesuje coraz bardziej doborem i językiem artykułów, podanych nadto w formie jasnej, jędrnej.

Z ustąpieniem niemców ukazał się również dwutygodnik Ilustracja Polska „Placówka", redagowany starannie w szacie wytwornej przez por. Zielińskiego; w pierwszym okresie swego istnienia odzwierciadlał on ideologję polskich korpusów wschodnich, obecnie utracił cechy „dzielnicowe" i stoi na gruncie jedności polskiej.

W niesłychanie trudnych warunkach, wśród szalejącego bolszewizmu, zapoczątkował w korpusach wschodnich polską myśl wojskową kap. Bagiński; stworzył on w Mińsku poczytny miesięcznik „Wiadomości Wojskowe", wydał szereg broszur treści patrjotycznej, spolszczył na użytek wojska kilka regulaminów; on również był duszą „Stowarzyszenia Wiedzy Polskiej", które jednak pomimo talentu i ofiarności jej inicjatora nie mogło się rozwinąć należycie, gdyż życie na kresach w okresie lat ostatnich sprowadzało się do najprostszych form walki o bytowanie.

Na rubieży niemieckiej polska siła zbrojna zorganizowała się najpóźniej, a wkrótce po jej ukształtowaniu grono wykształconych oficerów rozpoczęło pracę na polu naukowem; wypadek, a może i wpływ środowiska sprawił, że obydwa miesięczniki, które się ukazały, są natury technicznej: „Polska Flota Napowietrzna" i „Wiedza Techniczna"; obydwa dają dużo materjału naukowo-technicznego; nie wątpię, że kierownicy tych miesięczników ppuł. Syrokomski i puł. Skoryna potrafią je rozwinąć i udoskonalić; w przedmowie od redakcji, umieszczonej w pierwszym zeszycie „Wiedzy Technicznej", czytamy: „widnieje niestety na karcie tytułowej napis W. K. P.; zaznaczamy tu wyraźnie, że uważamy tę cechę lokalności nie jako rzecz dodatnią, że pragniemy zespolenia wojskowych z różnych b. armji, z różnych dzielnic, o różnych poglądach w jedną rodzinę".

Oby złote te słowa były odczute i w czynie urzeczywistnione przez polską myśl wojskową Polski zjednoczonej.

Maciej Wierzbiński.

URLOP.

(Z cyklu nowel: „Uśmiechy").

Wychyliwszy jednym haustem szklankę bawara przy bufecie, brodaty landwerzysta wziął swą popielatą walizkę i wyszedł z poczekalni stacji berlińskiej w ciemny wieczór grudniowy. Puścił się w labirynt ulic i uliczek, zadowolonym wzrokiem muskając dobrze znane mury i godła.

Zrósł się z tą dzielnicą Berlina od dziecka, a jednak wszystko co miał przed oczyma przejmowało go subtelnem zdziwieniem. Otaczał go bowiem jakiś nowy świat, który wprawdzie śnił mu się nieraz w podziemiach i okopach strzeleckich, ale snem mu się już tylko wydawał. Niósł zatem w sobie radosne zadowolenie, że ów Berlin istnieje rzeczywiście—istnieje daleki od huku dział i niedoli żołnierskiego bytowania, obojętny, jakby zgoła nieświadomy, że to wojna. Dobrze, że nie było dokoła nic, co byłoby przypominało mu krwawe przejścia wojenne, dobrze, że było miasto, gdzie zapomnieć można o wojnie.

Przez całe, długie dziesięć miesięcy nie oglądał Berlina. Dopiero teraz otrzymał dobrze zasłużony urlop. Wcześniej aniżeli się spodziewał. Może trochę zawcześnie. Najchętniej byłby spędził święta Bożego Narodzenia z żoną i pięcioletnim swym Franzem, jednakże na okres świąteczny urlopów odmówiono. Natomiast zwolniono go niezwłocznie i to na całe dwa tygodnie.

Stało się to tak niespodzianie, że nie doniósł o tem do domu ani słówkiem. Nie szkodzi. Spadnie w ognisko domowe znienacka, jak granat w biwak wywczasów zażywający. Nie znosił pióra w garści, zresztą gdzieś w zakamarkach duszy taił się uśmiech figlarny. Zrobi Bercie niespodziankę. Ciekawość, jak ona radzi sobie w czasie jego nieobecności. Jak go przyjmie?

Na narożniku rojnej arterji wpadły mu w oko rozświetlone szyby knajpy: „*Zum guten Happen*“ (Pod dobrym kęsem), gdzie po codziennej pracy magazynierskiej w wielkim zakładzie stolarskim zwykł był krzepić się piwem, palić cygaro i gawędzić.

Oblicze jego zajaśniało jakby na widok druha i coś pociągnęło go do wnętrza zadymionej traktjerni. Dalibóg nie podobno było nie zajrzeć do tej miłej przystani, nie uścisnąć dłoni poczciwego otyłego gospodarza, nie zamienić kilku słów powitalnych.

Ale spieszyło mu się do domu. Zegary wskazywały wpół do siódmej i zbliżała się godzina wieczerzy, której domagał się żołądek. Po dwunastu godzinach jazdy należała się urlopnikowi rzetelna porcja ciepłej strawy.

Niedługo przeto zabawiał się z gospodarzem piwiarni. Nie wdając się w szerokie opowieści o swych przeżyciach, wypił szklankę piwa, przetrącił wódką i wysunął się na ulicę, tem prędzej, że po dłuższem zastanowieniu przyszedł do przekonania, iż wypada mu zajść do golibrody. Obrósł bowiem w tych przeklętych okopach jak dziki alemanin w lasach Teutoburskich. Musiał przeto odżałować kilka trojaków na fryzjera, gdyż mały Franz gotów nie poznać ojca, a Berta na widok jego wykrzyknęłaby z pewnością: „wyglądasz jak istny niedźwiedź“! Kładła ona nie małą wagę na powierzchowność, zwyczajnie jak szykowna i smaczna niewiasta.

Wyszedłszy od golibrody gładki na gębie, jak szyba a nawet z czupryną pachnidłem zakropioną, Fryc Bauer odczuwał błogie zadowolenie ze spełnionego obowiązku. Kupił piernik dla synka i raźnym krokiem podążał dalej, próbując rozwiązać kwestję, co też Berta warzy na wieczerzę.

W czasach wzmagającej się drożyzny nie można było oczekiwać, by zmuszona do liczenia się z groszem kobieta gotowała dla siebie i chłopca jakie frykasy, wszelako zaostrzony wódką apetyt podsuwał mu marzenia i mówił sobie, że jeśli żona przeczuwa powrót męża, to wystawi na stół schab wieprzowy z kluskami i kapustą.

Na myśl tę śmiałą ślina szła mu do ust i jednocześnie miłosne uczucia jego dla żony wzrastały ogromnie. Nigdy Berta nie była mu droższą jak wśród zapachów zacnej wieprzowiny, nigdy nie uznawał więcej jej zalet i urody.

Wśród miłych rojeń gastronomicznych wszedł na drugie piętro oficyny i zatrzymał się przed drzwiami, na których w świetle latarki, obejmującem klatkę schodową, widniało jego nazwisko.

Wytężył słuch. Cicho było wszędzie. Zapewne Berta krzątała się w kuchence. Z figlarnym uśmiechem zapukał do drzwi mocno, jak ktoś mający pełne prawo wstępu. Ale nie było odpowiedzi.

Zastukał raz jeszcze i nacisnął klamkę drzwi —zamkniętych.

Wtedy dopiero ozwał się z głębi izby głos albo raczej głosik Franza, jakby nieco zatrworzonego.

— To ja, ojciec! Gdzie matka? — zawołał landwerzysta.

Malec począł coś bełkotać, z czego Fryc dorozumiał się tyle, że matki nie było, a chłopak zamknięty nie miał klucza.

Co począć? Z nosem na kwintę spuszczonym urlopnik udał się po radę do stróżki. Ale rady nie było, bo nie było klucza. Fryc zatem stanął przed kamienicą, oczekując powrotu żony. Może udała się do jakiego poblizkiego kramiku. Jednakże odniósł wrażenie, że Franz spoczywał już w łóżku, i to wzbudziło w nim kwestję, czy Berta nie pojechała na cały wieczór do krewnych, do Friedenau.

Głupia sprawa. Szkoda jednak, że nie dał znać żonie o swym urlopie. Byłby zastał teraz schab wieprzowy w świetle pełnego szczęścia domowego.

Kwaśny, bezradny rozglądał się wśród mroków ulicznych. Na szczęście nadszedł sąsiad, który wybawił go z kłopotu. Posiadał bowiem u siebie pęki różnych kluczów i zaofiarował się wypróbować je w zamku pomieszkania Bauerów.

Tak się stało i z tak dobrym skutkiem, że wreszcie otworzyło się przed Frycem zamknięte ognisko domowe.

Zapaliwszy świeczkę, urlopnik rzucił okiem dokoła, a mały Franz, podniósłszy się w łóżku, spozierał na ojca wielkiemi, nieco wylęknionemi oczyma.

Zanim go jeszcze ucałował, głodny i rozczarowany urlopnik rzucił:

— Gdzie matka?

Na co chłopak, nie zdejmując zeń źrenic, wyrzekł powoli, spokojnie:

— Poszła z drugim papą do kino.

Z drugim...?! Szarpnęło coś za pierś żołnierza.

Nagle, odczuwając znużenie, usiadł w krześle bez słowa, opuścił ramiona i oddychał przez nozdrza, sapał jak miech kowalski.

U djabła! Nie dość, że Berta pobierała miesięczną zapomogę, jeszcze on sam przesyłał jej co mógł ze swego żołdu, a mimo to wszystko wzięła sobie drugiego męża, który snać rozgościł się tutaj na dobre i wszedł w jego pantofle, jeżeli Franz poczytywał go za nowego tatusia!...

Bezczelność! Ohyda! Bercie wojna życia nie złamała, nie wykoleiła jej. Ona umiała sobie radzić; nie frasując się, padła w ramiona kochanka i — hulaj dusza. Niech to wszyscy....!

Lecz „rachunek swój zrobiła bez gospodarza". No, zgotuje on jej za to śliczną niespodziankę! Kładł trupem ludzi uczciwych, mordował bliźnich, którzy nic złego mu nie uczynili, a miałby puścić płazem taką sprawkę tej ladacznicy? Łeb jej rozwali pierwszem lepszem narzędziem ostrem. Jej i jemu!...

Któż to mógł być taki? Mignęła mu przed oczyma galerja najbliższych znajomych Berty, węszył między nimi winowajcę, ale nikt z tego szeregu nie budził w nim szczególniejszych podejrzeń.

Uprzytomnił sobie w tej chwili, że stróżka witając go miała w źrenicach jakiś dziwny, złośliwy uśmiech, który zrazu nie zaintrygował go, ale teraz ukąsił go boleśnie. Niezawodnie wiedziała ona niemało o tym gachu.

Wzburzony Fryc począł chodzić po obszernej izbie, zaglądać tu i owdzie, azali nie znajdzie czegoś, co wprowadziłoby go na ślad tego nikczemnego intruza. Lecz nie odnajdywał nic i to uspokoiło trochę stargane nerwy. Aż wreszcie zauważył na krawędzi komody niedopałek cygara i znów krew buchnęła mu do głowy wrzątkiem, zalała mózg falą szału.

Tego łajdaka przywita on tak jak Bertę. Zabije ich oboje. Sąd, w takich razach względny, uwolni obrońcę ojczyzny od wszelkiej odpowiedzialności, uzna go niewinnym. Zresztą niech się dzieje co chce! Musi być kara dla winowajców. I będzie!....

Stanąwszy przed łóżkiem malca, przeczuwającego instynktownie jakąś niepojętą burzę, począł go przesłuchiwać i dowiedział się, że ów drugi papa przychodził tu często, bardzo często. Tego wieczora jednak nie bawił długo. Dał Franzowi dwa jabłka, wypalił cygaro, czekając, aż matka ubierze się odświętnie, poczem ułożywszy chłopca w łóżku, oboje wyszli na miasto bez kolacji.

Istotnie w kuchni Fryc zauważył, że statki niemal wszystkie były pomyte, a mięsnych zapasów nie było tam wcale. Takie to gospodarstwo prowadziła Berta. W tych czasach drożyzny włóczyła się po jadłodajniach, widocznie bogatego mając gacha.

Wszystko to pieniącą goryczą zalewało serce urlopnika, tem więcej, że chciał przekąsić cośkolwiek. Gniew swoją drogą a głód swoją. Serce znajduje się w pobliżu żołądka. Chwilami głód szedł w zapomnienie, lecz znów odzywał się tam niecierpliwiej, podniecał jeszcze więcej wściekłość, wytwarzał bezlitosną zaciętość i brutalną żądzę pomsty, krwi.

Żeby ich miał przed sobą, tę parę, bez długiej gadaniny głowy by im porozbijał na miazgę i... koniec.

Ale oni byli w kinematografie. Nie wiadomo w jakim. Berta nie miała żadnego uprzywilejowanego teatrzyku, protegowała wszystkie. Pytanie, czy nie pojechali w śródmieście, jeśli takie pańskie mieli zwyczaje, iż kolacje jadali po za domem. Gdzie ich szukać? Przepadli.

Jak zwierz w klatce Fryc błąkał się po izbie, spowity w czarną chmurę. Drażnił go nawet widok malca, gdyż odczuwał do niego pewną urazę za to, iż dał sobie narzucić „drugiego papę" i pogodził się z nowym stanem rzeczy. Rzuciwszy mu wreszcie piernik na łóżko, wyszedł, zamknął drzwi na klucz i udał się do stróżki na wywiad.

Ale z pewnem wahaniem. Niby to pragnął namiętnie posłyszeć kto przyprawił mu rogi, co działo się w czasie jego nieobecności z Bertą, a jednocześnie przestrzegało go coś przed ciekawością i powstrzymywało. Jakoż na dnie duszy nie gniewał się wcale, gdy okazało się, że stróżka wyszła na miasto.

Automatycznie skierował kroki w stronę swej knajpy i, w miarę jak oddalał się od domu, zanurzał w rozgwar uliczny, oblicze jego wypogadzało się nieznacznie. Jak w kielichu, z którego wyszumiało wino, zapanował w nim po wielkiej nawałnicy pokój i pustka i nie miał żadnej myśli pod czaszką.

Z tego odrętwienia wyrwała go sylwetka znajomej osoby; ujrzał po drugiej stronie ulicy idącą żonę koleżki z pod „Dobrego kęsa" a towarzysza broni, który w tym samym co Bauer służąc bataljonie, prosił go przed wyjazdem na urlop, by wstąpił do jego małżonki, pozdrowił ją i opowiedział jej coś niecoś o doli i niedoli mężowskiej.

Nie znając pani Klary prawie wcale, Fryc, choć niechętnie podjął się tego, jednakże teraz zbliżył się do niej, chcąc skorzystać ze sposobności i uiścić się z przyrzeczenia.

Wywiązała się odrazu żywa rozmowa i by-

łaby przeciągnęła długo, gdyby żołnierz nie był ozwał się:

— Spieszy mi się; głodny jestem siarczyście.

— A czy pan nic nie jadł u siebie?

— Nic, bo... nie zastałem żony. Pojechała do Friedenau, do krewnych, nic nie wiedząc o mem przybyciu.

— Więc niech pan idzie na kolację do mnie!— rzekła pani Klara uprzejmie—Musi mi pan jeszcze opowiedzieć o Robercie niejedno. Mieszkam stąd parę kroków, a niosę właśnie trochę zapasów, kiełbasę, ser i piwo. I mam jeszczę z obiadu porcję wieprzowiny, którą panu odgrzeję szybko.

Wprawdzie knajpa pociągała go daleko więcej, wszelako perspektywa bezpłatnej wieprzowiny, poparta uprzejmością pani Klary podziałała przekonywająco. Przecież do piwiarni mógł zajść jeszcze potem. Nie dał się przeto prosić więcej i niebawem przekroczył próg mieszkania Trauthoferów.

Odrazu oskrzydlił go nastrój iście zacisznej szczęśliwości. Lubo bezdzietni, Trauthoferowie zajmowali dwa przytulne pokoje, nadspodziewanie ładne, z których wyzierał ład, porządek i dostatek. Na wszystkiem znać było rękę troskliwej gospodyni; każdy sprzęt spoczywał na swem przepisanem miejscu, jak w doskonale zorganizowanem państwie. Po tylu miesiącach kreciego bytowania w norach, na wzór praszczurów owych jaskiniowców, żołnierz widział w ciepłym tym zakątku rajską przystań, wymarzoną dla urlopnika.

Siedząc nad szklanką piwa, w głębokim fotelu rozglądał się dokoła z odcieniem zazdrości, gdy owiał go zapach ulubionej potrawy.

Rzucił się na nią z zapałem i pałaszował walecznie. Pani Klara również zabrała się do wieczerzy pospiesznie, co nie przeszkadzało jej dolewać piwa landwerzyście.

Zauważywszy to, Fryc rozjaśniony podniósł na gościnną kobietę wdzięczne spojrzenie i zauważył przytem, że szczęśliwy pan tego mieszkania miał w niej godną żonę, wcale niczego niewiastę. Nie ubierała się tak z wielkomiejska jak Berta, zbliżała się wszakże do typu *„einer biederen Hausfrau"*, co odpowiadało smakowi Fryca w tej chwili daleko więcej od krzyczącej elegancji. Nadto była od Berty tęższa i, zdało się, łagodniejsza, dobroduszniejsza. Rozsiewała wokoło siebie atmosferę ciepłego pokoju domowego.

Gdy Fryc oplatał ją tak spojrzeniem, uśmiechnęła się do niego ładnemi, chabrowemi oczyma.

— Nie bawiliśmy się długo—rzekła—i dobrze, bo wybieram się do poblizkiego kino. Śliczny dziś program: „Miłość wieloryba czyli 10 tysięcy stóp pod wodą" a na zakończenie „Italjańska noc". Ma pan wieczór wolny, więc pójdziemy razem, a potem możemy ukończyć kolację, spróbować tych wędlin. Dobrze?

Urlopnik, czując się jakby u siebie, nie miał ochoty opuszczać przytulnego gniazdka, zwłaszcza, że zdawało mu się, iż żywi do kinematografów osobliwszą i zasadniczą odrazę. Wszystkie te teatrzyki, sądził, powinny być raz na zawsze przez policję zamknięte przez wzgląd na dobro publiczne. Ale pani Klara już przywdziewała paradny płaszcz bronzowy. Bardzo było jej w nim do twarzy. Ani słowa.

Skończywszy szybko piwo, Fryc podniósł się, cedząc flegmatycznie:

— Co prawda, nie ruszyłbym się stąd. Dalibóg, miła kwatera i przy takiej markietance....

— Cha! Cha!—zaśmiała się w głos kobieta, ukazując białe zęby, i nagle umilkła.

Po chwili milczenia zerknęła w jego źrenice bystro i zalotnie, roześmiała się i zauważyła z podziwem:

— Jak to pan wygolił się pięknie!...

Bauer odpowiedział na to głupkowatym uśmiechem.

Miał mgliste uczucie, że stanął między nimi jakiś pakt.

Wyszli, nic do siebie nie mówiąc.

Postępując obok niej, Fryc, lubo syt, kwaśną przybrał minę, bo kołatał się w nim jakiś niepokój bez nazwy. Czaił się w nim lęk przed spotkaniem Berty i „drugiego papy". Niech ją wszyscy djabli!...

Wkrótce podległ urokowi, jaki wywierało nań towarzystwo ponętnej niewiasty. Jak to dawno już nie miał przy boku swym białogłowy! Wojna, huk armat, błotniste rowy strzeleckie, chłód, głód, niewygody i—Berta, wszystko to poszło w zapomnienie w potoku gawędy wesołym tonem prowadzonej. Był jak zamożny burżuj w niedzielę idący na zabawę.

A ona mówiła z uśmiechem:

— Byłoby głupstwem, gdybyś pan nie wykorzystał urlopu jak należy... Nie używał życia...

Z pewnością Nie mogło być dwu zdań. Raz człek żyje na świecie, a od czego urlop?

Fryc znów uśmiechnął się głupkowato do niej i do siebie.

Weszli do kinematografu.

Teresa Łubieńska.

On!

I.

W tęsknocie długie przeżywam miesiące,
w tęsknocie ranki witam i wieczory,
a duch mój — ciągle pozostając chory,
we śnie — widziadeł spotyka tysiące...

Idę do ciebie przez zgliszcza i bory,
idę całować twe usta płonące,
boś ty jest dla mnie — jak dla kwiecia słońce,
tyś boski nektar życiowej amfory...

i drżąca — tęskna — wyciągam ramiona,
kędy twa postać szara — umęczona,
widnieje w dali wśród obozowiska...

idę — i dzielę twe trudy i znoje...
aż — rzeczywistość przerywa sny moje
i ból ogromny serce mi znów ściska...

II.

Co to jest? — czemu — chociaż słońce świeci,
mnie czegoś chmurno — i smutno na duszy?
i dziwna żałość cały hart mój kruszy,
tęskne westchnienie — hen — w zaświaty leci?...

Co to? — śpiew jakiś w tej wieczornej głuszy?
ach — tak! — modlitwa — to śpiewają dzieci...
i ten maj cudny wspomnień tyle nieci...
lecz — w mojem sercu — łzy dziś nie osuszy...

Ach — bo o niego — tak bardzo się trwożę...
czyliż bezpieczny?... w krwawej walce może...
a może ranny... i pomocy wzywa...

Nie! — jam już sobą nie władna zupełnie!
O, Matko — Polsko! gdy ten kielich spełnię,
bądźże Ty dla mnie potem litościwa!...

III.

— „Ach słuchaj! zgadnij! co się wczoraj stało?"
— „Już wiem! powrócił!" — „Powrócił kochany!
już lżej na duszy i nie krwawią rany,
i zcichło serce — które bolem drgało...

Już noc się cieniem usłała na ściany,
i miasto w senny bezwład zapadało,
jeno latarnia błyszczała nieśmiało,
jak błędny ognik we mgle zapomniany,

a jam wieczorne kończyła pacierze,
myśląc — że on, gdzieś, kresów Polski strzeże,
gdy — nagle — wrzawa u wejścia powstała...

więc biegłam — pełna niezachwianej wiary,
że to on wraca — ten mój rycerz szary,
i memu szczęściu oddałam się cała..."

ODRODZENIE WILEŃSKIEJ WSZECHNICY.

Najbardziej tajone marzenia urzeczywistniają się. Stary Batorego Uniwersytet znowu otwarty. Uroczystość wskrzeszenia wileńskiej wszechnicy obchodziliśmy w Polsce niby święto narodowe. Podniosłe Gody w starym Gedymina grodzie obudziły w duszach polskich żywe wzruszenia. Zadrżały w sercach cudowne wspomnienia, zaszemrały echa zda się na zawsze zamarłej przeszłości. Istotnie odrodzenie wileńskiego uniwersytetu jest więcej niż krzepiącym otuchą dowodem wzmagającej się pełni duchowego życia narodu.

Zawiera w sobie głębsze, symboliczne znaczenie.

Uniwersytet wileński.... Snuje się znowu złota nić, wiążąca zamierzchłą przeszłość ze świetlaną teraźniejszością.

Otwarty przez jezuitów w r. 1580, zreformowany z ramienia Komisji Edukacyjnej przez Marcina Odlanickiego Poczobuta, zreorganizowany w r. 1802 przez księcia Adama Czartoryskiego, zamknięty ostatecznie w r. 1832— jedną miał w dość szarym biegu lat epokę jasną i wielką, czasy Mickiewiczowskie.

Wielką była nie przez wysoki rozkwit nauki, choć na europejskim prowadzonej poziomie, nie przez niezwykłe promieniowanie kultury, choć biła ona w Wilnie wtedy tętnem żywem, lecz wielką przez zespół przedziwny uczuć i myśli ówczesnego pokolenia, zespół, jaki jedyny raz na polskiej powstał ziemi. Gdy zamarło rozszarpane ciało Rzeczypospolitej, dorosło pokolenie, jakiego brakło konającemu państwu. Zjawiło się pokolenie nowoczesne całkiem, o wielkiej skali zainteresowania się życiem, żądne wiedzy, zdolne do najwyższych wzniesień ducha, patrjotyczne nie tylko rycerską, instynktowną uczuciowością dawnych lat, lecz świadomością umiejętnych wysiłków. Pokolenie zarazem radosne, upojone młodością, bujne, o uczuciach silnych, świeżych, górnych, romantycznych. Pokolenie, którego sztandarem i pieśnią bojową była Oda do młodości.

Wileńska wszechnica stała się główną kuźnią, ogniskiem i ośrodkiem życia duchowego tej młodzieży. Promieniowały stamtąd nieprzebrane siły prądów nowych, nowy uczuciowy stosunek do życia, nowe obce dotąd Pol-



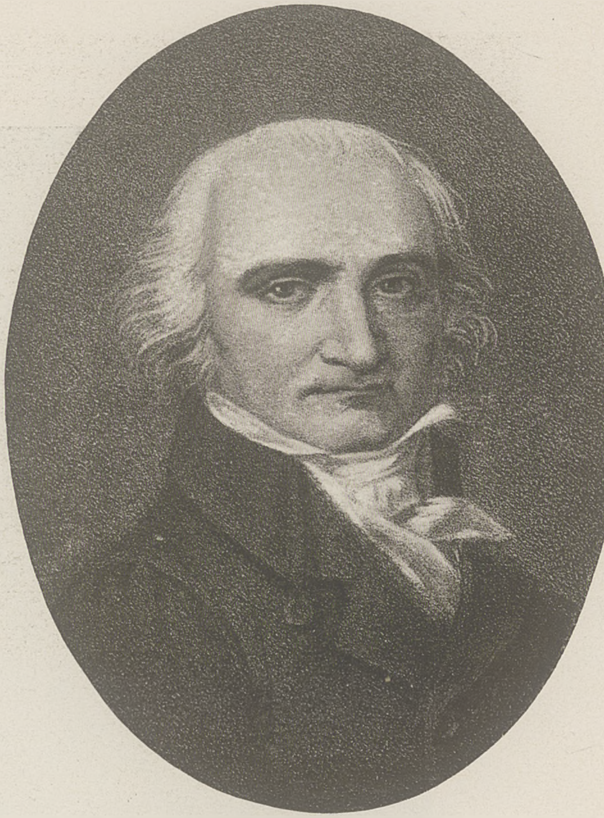
Cisza nocna na froncie.

Fot. S. Walczak.

Z WIELKIEGO POKOLENIA.



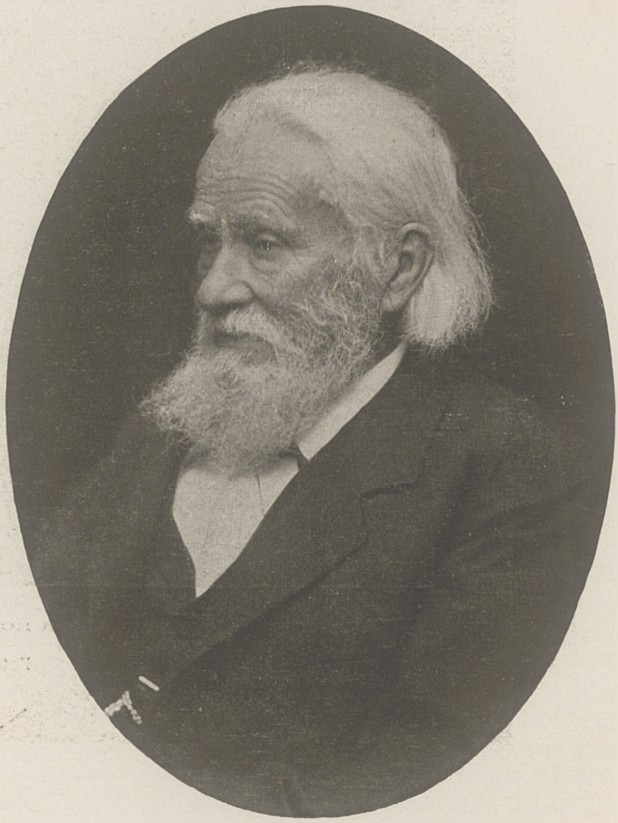
Książę Adam Czartoryski
kurator i odnowiciel uniwersytetu wileńskiego.



Jan Śniadecki
profesor i pierwszy rektor odrodzonego po r. 1803 uniwersytetu wileńskiego.



Zan
druh Adama Mickiewicza i jeden z przywódców filareckiej młodzieży.



Władysław Mickiewicz
syn Adama, prof. honorowy uniwersytetu wileńskiego.

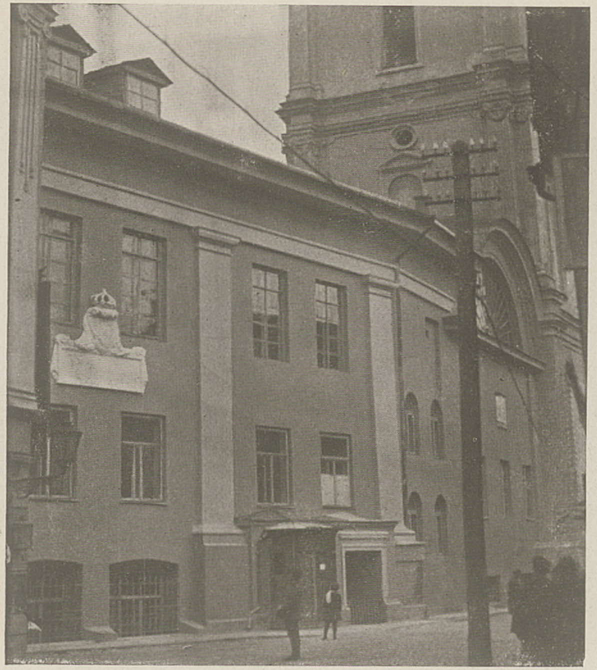
STARE WILNO.



Wilno. — Katedra i zamek królewski w 1820 r.
Ze starej ryciny. — Ze zbiorów M. Federowskiego.



Wilno. — Pałac biskupi i (w głębi) uniwersytet z obserwatorjum astronomicznem.
Ze starej ryciny. — Ze zbiorów M. Federowskiego.







Gmach uniwersytetu w Wilnie.

Aula kolumnowa uniw. wileńsk.

Pochód do uniwersytetu
podczas uroczystości otwarcia.





sce horyzonty myślowe. W promieniach tego ogniska ogrzewały się serca kilku pokoleń, idee zrodzone tam kierowały narodem przez cały ciąg trwania romantyzmu w życiu i romantyzmu w poezji. Dziś oto wśród rozbudzonych ech przeszłości wyciąga się ku wzruszonym wnukom pomocna dłoń wielkiego pokolenia.

Iskry patrjotyzmu, jakim ówczesne gorzało pokolenie, zapadły głęboko w serca ludu wileńskiego, przetrwały lata męki i niewoli i teraz jasnym buchnęły płomieniem. Wilno równie potężnie, równie gorąco, jak i ongi czuje swój nierozerwalny związek z Rzeczpospolitą, w której koronie jest jednym z najpiękniejszych klejnotów.

Uroczystości wileńskie były tych nowych zaślubin żywym symbolem. Stwierdzały również siłę, potęgę, tryumfującą moc narodowego ducha. Rozpalając na kresach stare ognisko wiedzy na odwieczne swe wkracza on szlaki. Zakładał król Batory akademję wileńską równocześnie z połocką fundacją dla Jezuitów, by krzewić kulturę na Wschodzie. Dziś odrodzona wszechnica znów tworzy ośrodek, skąd promieniować będzie światło wiedzy polskiej na blizkie nam, zamieszkujące Litwę ludy.

Niechajże pod rządami pierwszego swego rektora Siedleckiego, spadkobiercy berła pierwszego rektora akademji Piotra Skargi, pierwszego rektora odrodzonego uniwersytetu Jana Śniadeckiego, wszechnica Batorowa godnie wznowi wielkie swe tradycje.

Wkrótce pochylą się czoła młodzieży nad księgami wiedzy, wokół nich w starych murach snuć się będą cienie wielkich poprzedników, może rozpalą one wspomnieniami w sercach tej młodzieży iskry bujnego życia, może dojrzeje znowu silne pokolenie, wiodące naród ku potędze, ku wielkości. **T. K.**

Wacław Wojno.

WIGILJA.

W drugiej połowie grudnia 1918 r. pułk nasz po kilkodniowej podróży pociągiem — dotarł do Przemyśla.

„Wojna, front, tuż obok okopy..." mówili nam mieszkańcy, a naszym młodym ułanom, bardziej dumnym ze swych szabel i karabinów, niż przyzwyczajonym do ich używania, na samą myśl o tem śmiały się oczy. Nie przeczę, że i nam starym żołnierzom, od kilku lat wojennem rzemiosłem zatrudnionych, po kilkomiesięcznej przerwie zachciało się znów wojaczki.

Znudziło się koszarowe życie, ćwiczenie rekrutów, organizowane w nader trudnych warunkach — pułku, którego zresztą tradycje jedynie z wojną, w polu, były związane. To też, gdy po trzech tygodniach, od chwili łaskawego wyjazdu okupantów, oznajmiono nam że idziemy w pole, zarówno młody ochotnik, jak i stary żołnierz z radością powitał tę nowinę.

Mroźny zimowy poranek wstawał z za wzgórz. otaczających fortecę Przemyską, osnuwając białą mgłą okolicę oraz zwał szarych postrzępionych murów — miasta. Świt się robił, gdy I pułk ułanów wyciągnął się na drodze w długą kolumnę, gotową do pochodu.

Rozległy się komendy, rozkazy, przelatywali ordynansi, — panował ruch.

Przed front wyjechał komendant pułku, przywitawszy się kolejno z każdym szwadronem, w kilku serdecznych żołnierskich słowach przemówił do chłopców, poczem, podawszy komendę do marszu, na swym złotym kasztanie wyjechał galopem na czoło kolumny.

Ruszyliśmy.

Kręta, ścięta mrozem droga wiła się wśród wzgórz. Mijaliśmy, jeden po drugim, zniszczone, poorane wojną — forty. Dokoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ledwie śniegiem przyprószone wzgórza, gdzieniegdzie porosłe lasem, robiące wrażenie niezdobytych warowni. Strumienie i rzeki co chwila przecinały drogę. Mieliśmy do przebycia dwadzieścia kilka kilometrów na południe, gdyż jak nas objaśniono, rozpocznie się niebawem akcja w celu oskrzydlenia przeciwnika.

W szeregach panowało niezwykłe ożywienie i wesołość, krzyżowały się dowcipy i docinki, skierowane do mniej zaradnych kolegów. My starzy, z pobłażliwym uśmiechem przysłuchiwaliśmy się tym „dziecięcym szczebiotom" naszych „rekrutów", przypominając sobie dawne czasy, wspólne przed kilku laty w tejże Galicji przebyte marsze i boje.

Ostatnich kilka kilometrów naszego pochodu posuwaliśmy się w pogotowiu bojowem, zachowując wszelkie ostrożności, gdyż okolica nie była jeszcze oczyszczoną od band ukraińskich.

Bez żadnych jednak przygód dotarliśmy wieczorem do Nowego Miasta, w powiecie Dobromilskim.

Zapadł wczesny wieczór. Czerwone mury wieży ratuszowej, dzwonnice cerkwi i całe miasteczko tonęło już w mroku.

Ciekawi mieszkańcy wylegli tłumnie ze swych siedzib, by nas witać jako wyczekiwanych oddawna obrońców.

Pułk rozkwaterował się szybko, tak że nie-

bawem zapanowała cisza, przerywana niekiedy przez sygnały placówek, rozstawionych dokoła miasteczka.

W domach panował ruch przedświąteczny, gospodynie przygotowywały się do jutrzejszej wigilji.

Mój pluton rozkwaterował się na plebanji. Zaroiło się w małym drewnianym domku, w kuchni przy kominie zasiedliśmy gwarząc wesoło i snując projekty co do dni przyszłych.

W kociołkach warzyły się najróżniejsze przysmaki, zdobyte mniej lub więcej legalną drogą.

Tak nadeszła noc, a z nią twardy, niefrasobliwy sen żołnierski. Było to już dobrze po północy, gdy wezwano mię do dowódcy szwadronu, od którego się dowiedziałem że dziś jeszcze zaczynamy akcję zaczepną. Po otrzymaniu rozkazów, pogawędziliśmy chwilę, poczem udałem się na zasłużony spoczynek.

. . . .

Pułk, długim rozwiniętym frontem stał na podmiejskiem błoniu. Po białych wzgórzach, hen od wschodu szedł świt. Rozściełał się po zboczach, igrając tysiącem blasków na perlistej okiści drzew, lśniąc na ostrzach lanc ułańskich.

Hej! zagrały dawno nie słyszane sygnałówki, — do serc przemówiły. Drgnęło coś w piersi starej braci, młodym oczy zapałały, konie z miejsc ruszyły, wesoło strzygąc uszami.

Posypały się rozkazy.

Zapanował ruch w szeregach, poszły tłumione poszepty, czekano upragnionej chwili — czekano bitwy. Boć nie wiedzieli młodzi jak ta zabawa wygląda.

Ruszyły szwadrony, rozbiegły się w różnych kierunkach, barwnemi wstęgami wspinając się na wzgórza.

Naszemu szwadronowi przypadła przykra rola osłaniania baterji. Bezczynne wyczekiwanie w oddali nie uśmiechało się nikomu.

Kilka kilometrów jechaliśmy za armatami, goniąc wzrokiem rozsypaną w oddali naszą tyraljerkę.

Za wsią Hrunatycze baterja nasza obrała sobie pozycję, szwadron zaś stanął opodal za folwarczną stodołą.

W oddali rechotały już nasze „maszynki"

Koło baterji panował ruch, zataczano działa, odciągano przody, gotując się do ognia.

Nadjechał ordynans z meldunkiem.

Poszły wzdłuż baterji, z ust do ust przerzucane komendy. Buczał telefon.

Armaty podniosły nieco swe długie szyje, cofnęły się, dymem gęstym osnuły, a huk, o wzgórza echem odbity gdzieś w oddali, wybuchem pocisków odpowiedział, z kurzem, dymem, z grzechotem karabinów się zmięszał, wypełniając zgiełkiem okolicę.

Szła bitwa, muzyką wzajemnych zaczepek wszczynana. Za każdym nowym hukiem konie trwożliwie przebierały nogami, twarze młodych żołnierzy przybladły nieco.

Rozmowy przycichły gdyż muzyka ta robiła wrażenie.

Baterja pracowała.

Wtem, gzieś za wzgórzami, od wsi Czyżki na które był skierowany nasz atak, — dał się słyszeć huk, poczem gdzieś wysoko powietrze przeciął przeraźliwy świst... Chwila skupionej ciszy, w której najlżejszy szelest słyszeć się daje, chwila jakiegoś wyczekiwania i niepokoju — a potem, jeden po drugim, o kilkadziesiąt kroków wyrzucając słup dymu i pyłu, z ogłuszającym hukiem wybuchły granaty.

— Macają, odezwał się w pobliżu stojący wachmistrz.

Armaty nie milkły. To ich, to nasza baterja, naprzemian i razem rzygały ogniem. Obłoki dymu ociężale wznosiły się ku górze.

Dokoła grzechotały karabiny. Mijali się ordynansi.

Wśród ogólnej wrzawy, dziwnym bezwzględnym spokojem odcinał się głos telefonistów, siedzących w kucki przy swych bekliwych aparatach.

Przykrzyło się wyczekiwanie. Granaty i szrapnele rwały się dokoła, kilka rannych koni odprowadzono na tyły, — ludzie się niecierpliwili.

Żyd, dzierżawca folwarku, którego dla pewności trzymaliśmy przy sobie, trząsł się ze strachu, bełkotał niezrozumiałe błagania.

Wkoło armat śnieg rudział, czerniał od dymu, w końcu, stopniawszy, odciął się czarną plamą grzązkiego błota wśród białego pola.

Baterja zmilkła.

— Posuwamy się naprzód, zmiana pozycji, objaśnił dowódca. Na naszem prawem skrzydle, słychać było zażarty bój, który kotłując się zmieszanym rozgwarem, uderzał w niebo, to znów ustawał, przygniatając trwogą niespodziewanej ciszy.

Dotarliśmy wreszcie wraz z baterją do rozciągniętej na kilka kilometrów wsi, Czyżek, której część została przed chwilą przez nasze przednie oddziały zajęta.

Wyszli na spotkanie mieszkańcy w szarych zapaskach niosąc chleb biały i świeże wigilijne pierogi. Skrzyżował się bezład pytań i odpowiedzi. Witąli nas z radością, roznosząc wśród szeregów swój poczęstunek, pomimo że kule, jak krople rzadkiego deszczu z sykiem spryskiwały słomiane strzechy.

Na skręcie drogi wzdłuż wsi prowadzącej, minęła nas gromada jeńców pod eskortą kilku ułanów.

Posypały się urągania, przyczem, niejeden z naszych, z ochotą wszedłby w ściślejszy kontakt z tak blizkim przeciwnikiem. Nie kazano nam jednak długo czekać, niebawem nadjechał adjutant z rozkazem.

Padła komenda, szwadron ruszył z miejsca kłusem.

Co chwila mijaliśmy oddziałki jeńców, rannych żołnierzy, lub wolno za uzdy prowadzone przez jeźdzców, okaleczałe, krwią zbroczone — konie.

Bitwa dalej toczyła się o wioskę.

Mieszkańców nigdzie tu widać nie było.

Połączywszy się z drugim szwadronem, skręciliśmy w prawo, by obszedłszy wieś — zajść nieprzyjacielowi od tyłu.

Rozwinęła się po wzgórzach długa serpentyna tyraljery.

Konie pozostawiliśmy w bezpiecznem miejscu.

Przywitały nas kule... Przebiegły po szeregach napomnienia, uwagi, rozkazy; kręty wąż tyraljery posuwał się to wolniej, to szybciej, przystawał, padał, trzaskał zamkami karabinów, dymem się osłaniał, powstawał i biegł, byle prędzej, byle naprzód. Ukraińcy przyjmowali nas celnym ogniem. Coraz zostawał się któryś w tyle, zwinięty na śniegu w kłębek, rwąc zbłocone szmaty, ranę oglądał, lub bez ruchu na twarz upadłszy czarnym krzyżem na śniegu się znaczył.

Kule rwały tyraljerkę, ale jej nie wstrzymały.

O kilkaset kroków ukazały się nam znów Czyżki.

Znać było, że nieprzyjaciel się cofa, spokojnie, gęstym ogniem z poza chat wstrzymując nasz napór.

Jak z ziemi wyrosła, ukazała się przed nami biała wstęga rzeki. Psia krew! zaklął nie jeden.

Nie było innej rady, trzeba bylo ją w bród przechodzić. Podniosły się w górę karabiny — i cały łańcuch wlazł do wody, łamiąc cienką powłokę lodu. Korzystali z tego ukraińcy, bezustannie zasypując nas ołowiem. Nie jeden pozostał w wodzie, lecz oglądać się czasu nie było, gdyż wydostawszy się na brzeg natychmiast ruszyliśmy dalej.

Nieprzyjaciel cofnął się zupełnie, tylko gdzieniegdzie z chat padały pojedyńcze strzały.

Dotarliśmy do wsi, Czyżki były zdobyte.

Gdy się zebrały wreszcie, rozproszone w różnych stronach szwadrony i plutony, dano nam chwilę spoczynku.

O, jak blado wyglądali ci nasi młodzi ułani, którzy tak ciekawi byli bitewnych wrażeń.

Zaczęto się szukać wzrokiem, liczyć straty, pokazywać rany, żałować, wyśmiewać — gwarzyć.

Południe minęło już dawno.

Szli jeńcy, patrząc z podełba na rozrzucone wzdłuż drogi szwadrony, a za nimi wlókł się długi urągliwy śmiech, prowadził, lgnąc do szarych łachmanów.

Gdzieś w dali urywanym trajkotem odzywały się karabiny. Co chwila łączyły się z nami spóźnione oddziały. Tłumiony głód sięgał do skończonych sakw. Kto miał, żuł czarny chleb żołnierski. Gdzieniegdzie tryumfalnie i żałośnie jaśniały szare wigilijne pierogi.

Nużący wypoczynek drażnił oczekiwaniem.

Dokoła przydrożnego kamienia, umieścił się sztab. Oficerowie składali meldunki, radzili, dzieląc się wrażeniami. Czekano na jakiś rozkaz, decyzję co do dalszej akcji.

Wróciły podjazdy, meldunki ich wyjaśniły sytuację.

Ruszamy dalej.

Długim stanowczym krzykiem przebiegła szeregi komenda.

Zakotłowało się.

Czwarty szwadron kłusem ma-a-rsz!

Ukazały się wzgórza, a w dali, okolona rzeką, ginęła w zachodzie jedna z wiosek. Czyżki pozostały za nami.

Ozwały się znów „maszynki", grzechotliwym po okolicy rozniosły się klekotem.

Zboczywszy z drogi na rolę, rozwinęliśmy się w „ławę".

U podnóża góry, szerokim pasem, ciągnęła się szklistą powłoką lodu pokryta, bagnista łąka, a za nią wśród olszyn rozrzucone chaty wioski.

Szybko spuszczaliśmy się po stromem wzgórzu.

Za nami wyła baterja, znów bitwa rozszalała się dokoła.

Uderzyły o lód podkowy końskie, po łące przebiegł trzask suchy.

Konie, olbrzymiemi susami wydostając się z bagna, zostawiały za sobą rozkołysane na błocie tafle lodu.

Z wioski pluli nam ołowiem w oczy, a kule dzwoniły, rysując na lodzie długie wązkie szczeliny.

Wciąż padał ktoś razem z koniem, nużał się w błocie, wyciągał szkapę, drapał się na siodło i jechał dalej. Czerwonemi plamami krwi znaczyła się nasza droga. Ścigały się przekleństwa. W szeregu ubywało ludzi.

Gęsty mgławy mrok opadał na okolicę.

Pojemnem półkolem dopadliśmy wioski.

Armaty umilkły, tylko karabinowe salwy rozlegały się głucho w ciemnościach.

Opodal czerwonym pękiem wybuchł pożar, przysłaniając falą płomieni zabudowania.

Zostawiwszy na skraju wsi konie, ruszyliśmy pieszo, wypierając przeciwnika.

Krzyk i płacz mieszały się z suchym trzaskiem strzałów i pożaru.

Zwarły się piersi, bagnet o bagnet, człowiek od człowieka w gorączce pośpiechu krwi się domagał. Noc przysłaniała wszystko, osnuwając mgłą cały ten piekielny rozgwar.

Nieprzyjaciel cofnął się wreszcie.

Zaległa cisza trwożliwem przypomnieniem ciągnąc się wśród chat, przerywana trzaskaniem płomieni.

Na niebie zawisła łuna.

. . . .

. . . .

W kuchni panował ruch i wrzawa.

Po plebanji uwijali się pośpiesznie żołnierze, znosząc drzewo, słomę, garnki. Inni znów, siedząc przy piecu, suszyli zmoczone odzienie. Wesoło trzaskał ogień, rozkosznem ciepłem rozchodząc się po izbie.

Zapach bigosu, smażonej kiełbasy, mile drażnił podniebienia.

Co chwila wchodziła gruba księża gospodyni, ze zgorszeniem patrząc na nasze przysmaki.

Zasiedliśmy wreszcie dokoła stołu na którym dumnie wyciągała swą szyję butelka gorzałki.

Z brudnej koperty wyjął ktoś przysłany mu z domu — opłatek.

— No, chłopcy, przecież dziś wigilja!

Biały, tłoczony papierek, kruszył się w palcach, obchodził koleją, wiodąc za sobą beztroskę serdecznych uścisków...

I długo, długo w noc z kilkudziesięciu piersi płynęły wśród oświetlonych domków tony wesołej kolendy — „Bóg się rodzi“.

Henryk Bagiński, kapitan.

CZWARTA DYWIZJA STRZELCÓW POLSKICH.

Generał Lucjan Żeligowski należy do tych nielicznych dowódców formacji I-go Korpusu Polskiego, którzy przyjęli udział w formowaniu Armji Polskiej na Wschodzie przez generała Hallera.

Po bitwie z Niemcami pod Kaniowem w dniu 11-go maja 1918 r. i rozbrojeniu korpusów polskich w końcu tegoż miesiąca, generał Haller postanawia sformować Armję Polską, walczącą z niemcami obok oddziałów koalicyjnych na Wschodzie. W tym celu powstają oddziały konspiracyjne, rozrzucone po całej Ukrainie i Rosji, które stopniowo od czerwca 1918 r. przedzierały się na Murman, Syberję i Kubań, wogóle tam wszędzie, dokąd nie sięgała pięść krzyżacko-bolszewicka. W ten sposób utrzymał się oddział polski na Murmanie i w Archangielsku, który do ostatniej chwili walczył z bolszewikami pod komendą anglików, 5-a Dywizja Strzelców Polskich na Syberji, dowodzona przez podpułkownika Czumę i Oddział Polski na Kubani, przemianowany następnie w 4-ą Dywizję Strzelców Polskich.

W połowie sierpnia 1918 r., gdy kontakt z Murmanem i z Syberją został całkowicie przerwany przez utworzenie frontu północnego i bolszewicko-czeskiego, a na Ukrainie Niemcy rozpoczęli aresztowania legjonistów, dalsze skupianie się legjonistów przy armji ochotniczej na Kubani okazało się mimowoli jedynym punktem wyjścia.

W dniu 24-go sierpnia zostaje ustalony etat oddziału polskiego przy armji Aleksiejewa, a formowanie rozpoczyna się pod komendą płk. Franciszka *Zielińskiego* przy współudziale szefa sztabu ppłk. *Orlika-Łukońskiego*, oraz d-ców: piechoty — mjr. *Wyspiańskiego*, artylerji — płk. *Rojka*, jazdy — mjr. *Plisowskiego*, inżynierji — kpt. *Bagińskiego*, awjacji — mjr. *Narkiewicza*. W stanicy kozaków

kubańskich Paszkówce pod Ekaterynodarem żwawo zbierają się legjoniści pod swoje sztandary, wysyłani z całej Rosji i Ukrainy przez komendy werbownicze.

W dniu 3-go października oddział polski w składzie dwuch kompanji piechoty i szwadronu jazdy w liczbie trzystu strzelców zostaje wysłany na pomoc Kubańcom w walce z bolszewikami w stepy na północ od Stawropola.

Żołnierze wykazali ogromny hart ducha, opłacając własną krwią istnienie Oddziału Polskiego.

Na bolszewików posuwali się szybko, nigdy nie padając w linję tyraljerską. Samo zjawienie się łańcucha tyraljerskiego strzelców polskich, odznaczających się od Kubańczyków maciejówkami i białemi orzełkami, doprowadzało bolszewików do ucieczki.

W połowie października 1918 r. przybywa na Kubań generał *Żeligowski*, który w zastępstwie generała Hallera przyjmuje komendę nad oddziałem, tworząc D-wo Wojsk Polskich na Wschodzie. Wobec jednak wypadków w kraju, rozbrojenia Niemców i powstania Rządu Polskiego, Oddział Polski na Kubani zostaje przeniesiony do Odesy i na rozkaz Naczelnego Wodza, Piłsudskiego, poddany pod komendę francuską dla wspólnej walki z ukraińcami i bolszewikami.

W grudniu 1918 r. następuje reorganizacja Oddziału Polskiego z zamianą na 4-ą Dywizję Strzelców Polskich pod d-wem generała *Żeligowskiego*. Dywizji, składającej się wówczas z 2500 ludzi przypada w udziale ciężka walka z Niemcami, petlurowcami i miejscowymi bolszewikami, buntującymi wsie okoliczne Odesy.

Już dnia 10 grudnia dochodzi do zbrojnego starcia pomiędzy oddziałami polskiemi i niemieckiemi, które w sposób wyzywający ustosunkowały się do nas. W walce tej zginęło kilku Niemców i 4 Polaków. W dniu 18 grudnia połączone oddziały: francuski, polski i armji ochotniczej wyrzucają Ukraińców z Odesy, przyczem dostaje się 4-ej Dyw. S. P. znaczny majątek w artylerji, techniczny i w umundurowaniu.

Wskutek zarządzonej mobilizacji przez Konsulat Polski i generała Żeligowskiego w styczniu 1919 r. 4-a Dyw. S. P. powiększa się do liczby 4000 ludzi. W dniu 1-go lutego odbyła się w Odesie rewja przed generałem francuskim d'Anselmem, d-cą frontu południowego w walce z bolszewikami.

Jakkolwiek żołnierz nasz był źle i niejednolicie ubrany, jednakże przez swoją dziarską postawę, ujął sobie odrazu starego i wytrwałego generała francuskiego. Rzeczywiście, że żołnierz był to wyborowy, zahartowany w czasie wojny regularnej i w walce z bolszewikami. To też w dniu 7-go lutego *w bitwie pod Tyraspolem* oddział 4-ej Dywizji S. P. w składzie piechoty, baterji artylerji, szwadronu jazdy i plutonu saperów wraz z oddziałem francuskim, odniósł świetne zwycięstwo nad bolszewikami i w ten sposób uratował dalszy pobyt wojsk koalicyjnych w Odesie.

W ciągu marca zostały wysłane poszczególne oddziały 4-ej Dyw. S. P. w okolice Odesy, tłumiąc poszczególne rozruchy miejscowych bolszewików.

We wszystkich tych niezliczonych bojach i utarczkach z Ukraińcami i bolszewikami, oddziały 4-ej Dywizji Strzelców Polskich oddały armji francuskiej ważne usługi i stały się dla nich wprost niezbędnemi, a to z tego względu, że Francuzi nie znali języka, kraju i długo nie mogli zorjentować się w metodzie działań bolszewików.

Wobec takiego przychylnego stosunku d-wa francuskiego do nas, o natychmiastowym powrocie do kraju nie można było marzyć.

Przyznać trzeba, że legjoniści cierpliwie znosili wszystkie niewygody i zawsze z wielką ochotą szli na wyprawy.

Wieść jednak o walkach z Ukraińcami w Galicji Wschodniej nie dawała nam spokoju i kilkakrotnie, począwszy od stycznia 1919 r., dopominaliśmy się od naszego D-wa poczynienia starań wysłania nas z odsieczą nielicznym wówczas oddziałom polskim, operującym pod Lwowem.

Jednakże dla sprawy polskiej pobyt 4-ej Dywizji S. P. w Odesie, stoczone walki z Ukraińcami i bolszewikami, a przedewszystkiem walka pod *Tyraspolem*, miały korzyść ogromną.

W tym czasie rozstrzyga się sprawa granic zachodnich Polski na kongresie wersalskim, a każda, choćby najmniejsza pomoc nasza w ogólnej sprawie koalicji, zapisana została na dobro narodu polskiego.

Państwa i narody, które nas nie znały, mogły nas sądzić tylko z naszych czynów. Z tego też wynikało, że pozostając w Odesie, na froncie koalicyjnym, stwierdzaliśmy braterstwo broni, a przez to wpływaliśmy pośrednio na stosunki czynników decydujących do Polski.

Rola przeto 4-ej Dywizji S. P. dla sprawy polskiej miała duże polityczne znaczenie.

To też Sejm Ustawodawczy w Warszawie, na

2-iem posiedzeniu 1-ej sesji, podkreślił to znaczenie przez oddanie *„hołdu żołnierzom — tułaczom"*.

„Marszałek poświęcił gorące słowa uznania", czytamy w sprawozdaniu z tego posiedzenia w „Kurjerze Warszawskim", „trzytysięcznej Armji Polskiej w Odesie, która pod dowództwem generała Żeligowskiego, walcząc w bardzo trudnych warunkach, o głodzie i chłodzie, 7 lutego zabrała bolszewikom miasto Tyraspol. Za to dowództwo francuskie złożyło jej hołd. Pozwólcie panowie, że przez usta moje, prześlę tym żołnierzom w imieniu Sejmu wyrazy czci i uznania. (Posłowie powstali z miejsc, wznosząc okrzyki: Niech żyją! Cześć!)".

W końcu marca 1919 r. nastąpił nagły zwrot opinji parlamentu francuskiego w sprawie czynnej interwencji w Rosji. Kredyty wojskowe dla armji francuskiej, operującej w Rosji zostały odrzucone i to spowodowało nagły rozkaz dowódcy wszystkich wojsk aljantów na Bałkanach i Lewancie, generała *Franchet d'Esperey*, aby jaknajprędzej opuścić Odesę i zająć linję obronną na prawym brzegu Dniestru, w Bessarabji.

W dniu 4-go i 5-go kwietnia 1919 r., z rozkazu generała *d'Anselma*, dowódcy wojsk sprzymierzonych w Rosji południowej, 4-a Dywizja Strzelców Polskich, wraz z grekami i francuzami, opuściła Odesę i, cofając się na prawy brzeg Dniestru, zajęła pozycję obronną nad ujściem Dniestru, w Bessarabji, gdzie stała do dnia 24-go maja.

W czasie tym dywizja nasza cierpiała na brak żywności i paszy dla koni. Jednak władze rumuńskie okazywały nam wiele przychylności, uważając nas za wojsko sprzymierzone.

Żołnierzowi naszemu brak było w dalszym ciągu umundurowania, butów i żołdu, który nie dochodził w swoim czasie. Był to okres bardzo przykry i nadzwyczaj ciężki; wszyscy już pragnęli powrotu do kraju, uważając dalszy pobyt w Bessarabji za bezcelowy.

Ta chwila radosna wreszcie nadeszła. Przed wymarszem do kraju, w niedzielę dnia 25-go maja 1919 r., generał *d'Anselme*, jako nasz naczelny dowódca przez przeciąg 4 miesięcy, w otoczeniu kilku generałów francuskich i licznej świty, obdarzył orderami zasługi wszystkich oficerów i żołnierzy, którzy odznaczyli się pod Tyraspolem i w czasie przejścia przez Dniestr, poczem przeczytał rozkaz pożegnalny, który w krótkich słowach scharakteryzował całą działalność dywizji i jej zasługi.

W dniu 14 czerwca 1919 r. transportami kolejowemi 4-a Dywizja S. P. przybyła do Stanisławowa w chwili bardzo krytycznej. Wyczerpane oddziały Wojska Polskiego, operujące w Galicji wschodniej, spotkały się z silnemi kontratakami hajdamaków i skończyły się dla nich pomyślną ofensywą w połowie czerwca na lewym brzegu Dniestru, aż pod *Halicz* i *Niźniów*.

Wzięcie tych dwuch punktów przez hajdamaków, zadecydowałoby o cofnięciu się frontu polskiego, aż pod Lwów.

Przybycie jednak w tym czasie 4 Dyw. S. P. na ten odcinek, uratowało całą sytuację bojową. W dniach 21 i 22 czerwca został odparty atak Ukraińców na *Halicz*, następnie zaś oddziały 4-ej Dyw. Strz. Pol., począwszy od dnia 26 czerwca, rozpoczęły ofensywę, dosięgając rzeki *Strypy*. W dniu 11 lipca grupa majora *Plisowskiego* z pułkiem jazdy i z baterją dział, pod *Jazłowcem*, zdobywa 6 dział i bierze do niewoli 3 bat. piechoty.

Dnia 14-go lipca D-wo 4-ej Dywizji S. P. otrzymało rozkaz rozpoczęcia ofensywy na całym froncie, w związku z innemi dywizjami, operującemi na froncie galicyjskim, który w ciągu 3 dni dni przesunął się do *Zbrucza*.

Tutaj nastąpiła reorganizacja 4-ej Dywizji Strzel. Pol.

Przedewszystkiem zasługuje na podkreślenie praca ppłk. *Tommé*, szefa sztabu dywizji, który umiał w odpowiedniej chwili pokierować operacjami, nie opuszczając oddziałów nawet w nocy. Za układ operacji pod *Jazłowcem* ppłk. Tommé otrzymał podziękowanie w rozkazie do dywizji. Ogromną inicjatywę i brawurę wykazała w pościgu jazda pod d-wem majorów *Plisowskiego* i *Kownackiego*, a nadzwyczajną pracę w budowie licznych mostów, tratew i kładek — Kompanja Inżynieryjna.

Widzimy zatem w istnieniu i działaniach bojowych 4-ej Dywizji S. P. ogromną korzyść dla Sprawy Polski Niepodległej i Zjednoczonej.

Krew przelana na obcych terytorjach okupiła możność istnienia i organizowania się Oddziału Polskiego na Kubani, w Odesie i w Bessarabji. Biorąc udział wybitny w oswobodzeniu Galicji wschodniej od hajdamakow, 4-a Dyw. S. P. przyniosła bezpośrednią korzyść krajowi.

Cierpienia i męki w więzieniach bolszewickich zostały okupione stokrotnie!

Cześć tym wszystkim, którzy do ostatka nie zwątpili w możność istnienia i organizowania dla kraju ojczystego Armji Polskiej na Wschodzie.

Z ŻYCIA DYWIZJI GEN. ŻELIGOWSKIEGO.



Z życia w polu: „Kasza już gotowa...“



Posterunek oficerski: karabin maszynowy przy radjostacji.



Meldunek o przyprowadzonych jeńcach ukraińskich w Buczaczu.



Na transportach — w Rumunji.



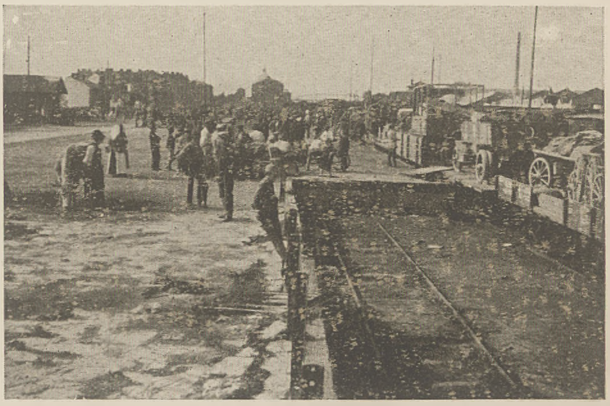
W wagonach — na front.



Radjostacja dyw. stanęła w Stanisławowie — na ziemi ojczystej.



Powrót do kraju: przed dworcem w Kołomyi.

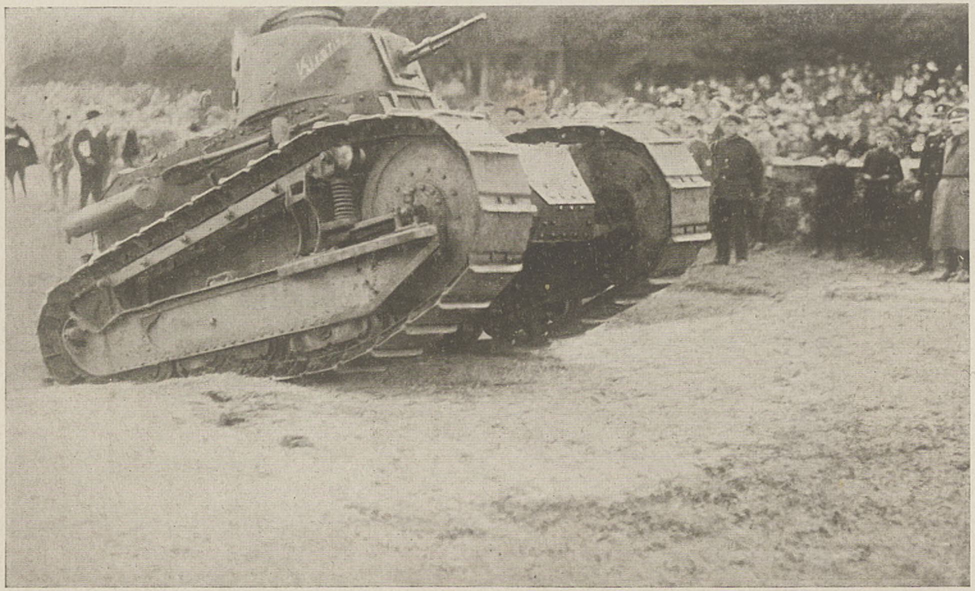


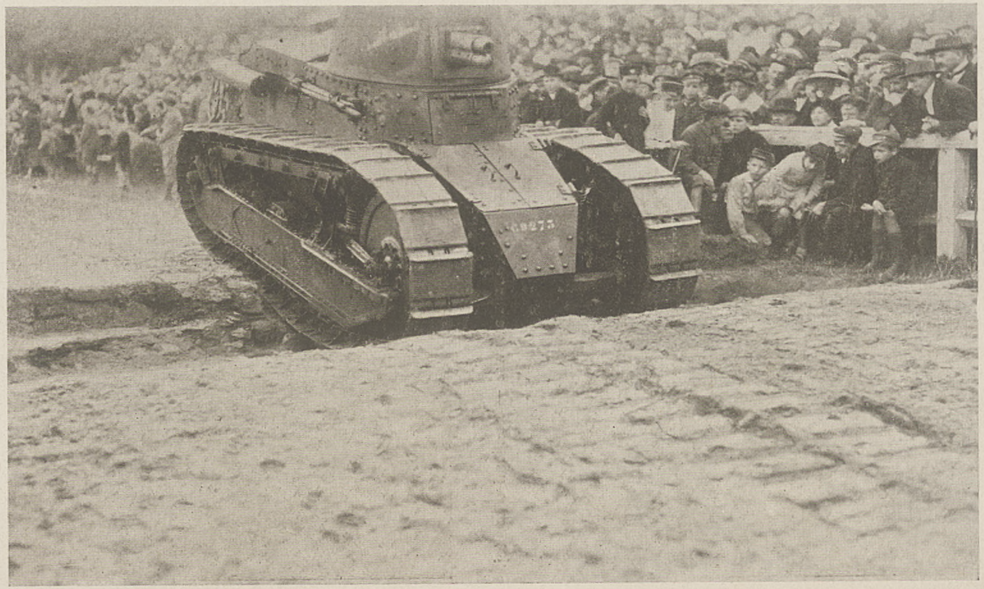
Przybycie pierwszego transportu dywizji do Stanisławowa.





Tanki, przystosowane do celów turystyki, wspinają się na najwyższe góry i spuszczają się w dół po stromych pochyłościach. (Fot. agienc. zagr.).





Tanki wzbudzają postrach na pozycji i niezwykły podziw wśród obywateli... Rzeczypospolitej polskiej. (Fot. St. Brzozowski).

Witold Małkowski.

TEATR ŻOŁNIERSKI.

Istnieją dwa sposoby zapatrywania się na istotę teatru, zasadniczo między sobą różne. Według jednego pojęcia teatr jest instytucją społeczną, potrzebą kulturalną, należy do tej samej kategorji, co szkoły, muzea i t. p.

Drugie określenie widzi w teatrze przedsiębiorstwo. Poprostu przedsiębiorstwo zarobkowe, jak cyklodrom, panoptikum lub menażerja. Dla tego określenia pomiędzy katarynką a operą różnica leży jedynie w wysokości kapitału zakładowego i obrotowego.

Stanowczo nowszem jest pojęcie drugie i nie można mu zaprzeczyć postępu. — Dawniej w starożytności teatr należał do kultu, był instytucją narodowo - społeczną. Szczególnie narody aryjskie czciły teatr. W Indjach kanony, zasady sztuki dramatycznej ujmuje mityczny Bharata, któremu boskie przypisują pochodzenie. U narodów celtyckich, w Gallji, Kornji, Bretonji i Normandji dramat i tem samem teatr łączy się z kultem bogów a potem, z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa, z tradycją kościoła, męką Zbawiciela i żywotami świętych. Jest też zawsze dobrem publicznem.

W Grecji teatr stanął na najwyższym stopniu uspołecznienia, był dobrem publicznem, należał do kultu bogów narodowych i do uroczystości religijno-patrjotycznych.

W Rzymie zaczyna powaga teatru słabnąć — wspaniałe krwiożercze igrzyska zajmują jego miejsce. Teatr schodzi do coraz niższych kategorji, a zmarniałą jego tradycję podtrzymują jeno histrjonowie, linoskoczki i kuglarze gwoli uciesze zamożnych i własnego zysku.

To też w Rzymie cesarskim, w schyłkowym Rzymie, u granicy świata starożytnego i średniowiecza, spotykamy objawy epoki nowożytnej naszych przematerjalizowanych czasów, których wynikiem poniekąd była wielka wojna.

W Rzymie chwiejącym się pod uderzeniami barbarzyńskiego germaństwa teatr przybierał to samo oblicze, które ma teraz w „Nowym Świecie“ — w Ameryce — „business“ — „bluff“ — pochlebianie instynktom bez wyboru a dla interesu, dla zysku. — Sensacja i reklama to czynniki, które zastąpiły artyzm, godność i wysokie posłannictwo.

Tą drogą potoczyły się teatry amerykańskie i francuskie. — Tą drogą poprowadzili je Reinhardt i jego epigonowie i na tę drogę wstępują też bez wyjątku nasze teatry w Polsce, tak prywatne, jak i wszelkie gminne, umiastowione i t. p.

Godnie pod względem ideowym spełniają swe zadanie może jedynie niektóre i nieliczne teatry prowincjonalne, zawdzięczając to swoje stanowisko z jednej strony łatwości społeczeństwa prowincjonalnego, które połknie wszystko, co mu podadzą i może t. zw. niedołężności handlowe swych dyrektorów. Takich jednak jest coraz mniej.

I w ten sposób teatr ginie. Bo z chwilą, kiedy zaprzeczają mu jego stanowiska jako czynnika kultury, upada jego godność społeczna. Dramat staje na równi z wyrobami konfekcji, patentowanemi guzikami, i środkami konserwującemi młodość i rzeźkość ponad setne lata żywota.

A jednak... Przestańmy na chwilę myśleć mózgiem snoba, który ma wszystkiego za dużo — któremu kultura się tak samo przejadła, jak ostendzkie ostrygi i homar po amerykańsku. Dla tych już niema nic ponad przepełnienie ich mózgownic.

Ale to nie społeczeństwo. Mamy szersze warstwy, które naród stanowią, jego siłę i jego przyszłość. Tym potrzeba teatru takiego, jakim go widziała Grecja, i wklęsłe amfiteatralne dolinki Kornji, Normandji i Bretonji. To jest teatr *ludowy i narodowy*, teatr *powszechny*, przystępny dla wszystkich, teatr karmiący ducha strawą szlachetną i zdrową, bez sensacji, bez pochlebstwa i demagogji.

Teatr taki powinien również i w wypadkach, kiedy widz nie jest w stanie do teatru przybyć i tem samem byłby tego dobrodziejstwa kultury pozbawiony, sam do widza zdążyć. To też z rozmiarów wielkiego teatru ludowego, z rozmiarów Coliseum lub teatru Dyonizosa, stać się małym, wędrownym, przenośnym. Powinien dotrzeć wszędzie, gdzie jakakolwiek myśl ludzka tleje i żarzy się uczucie, powinien myśl tę rozjaśnić i uczucie rozpłomienić. Ale nie dla interesu, nie dla zysku, ale dla idei w poczuciu wielkości swego posłannictwa.

* * *

W powyższych słowach starałem się wykazać, czem teatr być powinien, wogóle. — Jednak chodzi mi o zastanowienie się nad zupełnie specjalnem jego zadaniem, a mianowicie nad stanowiskiem jego do żołnierzy.

Jakim powinien być teatr dla żołnierza? — Odpowiedź łatwa: „Doskonałym pod każdym względem“.— A co do charakteru powinien najbardziej zbliżać się do powszechnego teatru ludowego przy jeszcze silniejszem podkreśleniu momentu narodowego. Organizacja takiego teatru powinna dążyć przedewszystkiem do doskonałości pod względem artystyczno - literackim — a więc zwracać pilną uwagę na wybór repertuaru, na reżyserję i wystawę.

Drugim zaś niemniej ważnym byłby postulat techniczny. Ten rozpada się na technikę samej sceny—a więc grę artystów, technikę reżyserską, wystawę, kostjumy, dekoracje, efekty świetlne, ilustrację muzyczną i t. p. Do działu tego należy też sam budynek teatralny i to tak pod względem artystycznym jego wyglądu i wyposażenia jakoteż pod względem wygody i bezpieczeństwa.

Sprawa repertuaru to bolączka wszystkich dyrekcji teatralnych. Zestawić repertuar jest trudniej, niż wroga rozgromić.

Praca nad zestawieniem repertuaru jest tak niewdzięczną dlatego przedewszystkiem, że składa się z dwu czynników najzupełniej niewspółmiernych, któremi są poziom artystyczny i kasa. Machina teatralna musi działać pod impulsem dwu motorów, które wzajemnie na siebie działają. Pierwszy, poziom artystyczny, ma wiele wspólności z pojęciem „perpetuum mobile” i pozostaje zawsze mrzonką o ile nie popycha go motor drugi, którym tu jest

kasa, mający wszelkie podobieństwo z motorem wodnym— byle tylko płynęła woda—nie zawodzi. Takiemi dwoma rumakami nierównej siły, nierównego biegu i temperamentu musi kierować każdy dyrektor teatru i to w pozycji cyrkowca jadącego „rzymską pocztą" — jedna noga na jednym koniu, a druga na drugim. To też nic dziwnego, że większość ich spada i to albo z rumaka kasowego, t. j. bankrutuje, albo też z rumaka artyzmu, a więc popada w schlebianie gustowi tłumu, licząc się tylko z kasą.

Ponieważ zaś wszędzie można ratować się półśrodkami, robi się repertuar „mieszany" albo „podwójny". Wtedy repertuar składa się z repertuaru „wielkiego" i „małego."—Wielki repertuar to szkoła odświętna Melpomeny. Są to wielkie utwory świeczników literatury dramatycznej. Sztuki czasem zupełnie „niekasowe" nie sceniczne. ale przepojone duchem twórczym. To Szekspir, Göthe, Schiller, Corneille, Molière, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Kto jest dobrym jeźdźcem może i tym rumakiem ujechać — są na to różne sposoby — Reinhardt np. jeździł na koniku kasowym, przebranym za „wielki rep".

Wielki repertuar może jednak być tylko „od święta" — na codzień wystarczy „mały". — Może on być wogóle takim, jakim go stworzy kierownik sceny. Może być „chudy", „płaski", „tłusty", „lekki" i t. d To też od małego repertuaru głównie zależy poziom artystyczny danego teatru. Wywiązać się dobrze z wykonaniem wielkiego repertuaru jest rzeczą technicznej strony, zaś już w wyborze repertuaru małego leży fizjognomja danej sceny.

Jakimże więc powinien być repertuar teatru żołnierskiego?

Wybierajmy kategorje, jakby z cennika — a więc „Wielki".... Tak — bardzo wielki. Tu powinny znaleźć miejsce wszystkie najlepsze utwory naszych mistrzów — i to naszych przedewszystkiem.— Mamy więc Mickiewicza. Jest przeróbka „Pana Tadeusza" na scenę—(nie znam jej, bo nigdy nie grano), są „Dziady", są „Konfederaci"—jest przeróbka „Konrada Wallenroda",— a więc głównie przeróbki. — Muszą one być dobre, by nie skompromitować samego dzieła. — Ale te wielkie utwory mają taką potęgę w sobie, że nawet słaba poniekąd przeróbka budzi ducha i zachwyca, boć zresztą idea jest więcej niż forma. Za to wykonanie musi być ponad wszystko staranne i poprawne. Bez fajerwerków, bez osobistych popisów, ale z pokorą i miłością sztuki. Mamy dalej utwory Krasińskiego „Irydyon" i „Nieboska". Wielkie to uczty i stanowczo nie na codzień — ale bez nich obejść się nie możemy. Tu jednak reżyserja ma ciężkie zadanie, by arcydzieła te podać tak, by wyszły czysto, jasno, by widz — żołnierz je zrozumiał. Niema bowiem gorszego ziarna, jak niezrozumienie. Wreszcie Słowacki—tu jest materjał dwojaki.—Są utwory wcześniejsze—więcej naśladownictwa.—Do tych należy „Marja Stuart" i w tym wypadku jeżeliby chodziło o wystawienie utworu historycznego, to w wyborze pomiędzy dwoma utworami tego samego tytułu w literaturze powszechnej głosowałbym przecież za Schillerowską Marją, ze względu na umysłowość widzów. Dalej „Kordjan". — Tu tworzy się rodzaj grupy z zakresu wielkiego repertuaru — Dziady, Kordjan, Wyzwolenie. Kordjan z tych bezsprzecznie najprzystępniejszy. Dalej cykl bajeczno-historyczny — Lilla Weneda, Balladyna i Mindowe — wszystkie dobre, a wymagające mądrej reżyserji. Wreszcie grupa ostatnia — Ksiądz Marek, Sen srebrny Salomei, Złota Czaszka, Horsztyński, Mazepa i t. d. wszystkie bardziej poetyckie niż sceniczne, więcej mgliste dla mniej przygotowanego literacko ogółu. Tylko reżyserja znowu może je uprzystępnić. Zadanie wdzięczne, ale bardzo trudne, Beatrix Cenci należy do cyklu tego, co Marja Stuart. Zresztą i Książę Niezłomny da się wystawić.

Po tych trzech idzie Wyspiański. — Z jego cyklu narodowego Wesele, Warszawianka, Legjon, Noc Listopadowa, Wyzwolenie i Bolesław Smiały — zawsze wielki repertuar dobrze wypełnią — Wesele, Warszawianka i Noc Listopadowa nie zawiodą nigdy — inne są znacznie trudniejsze tak literacko, jak i technicznie. Cykl klasyczny Wyspiańskiego — może znaleźć miejsce w repartuarze małym. — A to nie dla tego, by może był mniej poważnym od wymienionych — ale utwory te są tak pełne erudycji klasycznej wprost filologicznej, że do właściwego ich ocenienia potrzeba specjalnego przygotowania szkolnego, które tylko pewien procent naszego żołnierstwa posiadać może.

W wielkim repertuarze nie powinno zabraknąć Fredry — szczególnie Ojca. Te klasyczne dla nas komedje są najszlachetniejszą strawą dla mas żołnierskich.

Wliczę tu jeszcze wszystkie utwory Rydla i to nie tyle dla ich własnej doskonałości, jak dla tendencji ducha polskości. Nie na tem jednak koniec klejnotów do wielkiego repertuaru. Jest tam jeszcze wiele bardzo kamieni półszlachetnych lub starego szlifu — może nie zabłysną jak djamenty, ale w odpowiedniej oprawie, odpowiednio podane, przecie zabłysną i duszę rozjaśnią. To też wybór repertuaru to nie jest prosta i lekka praca. Należy dużo myśleć i dużo szukać — czasem i probować, ryzykować. Próba nie udana przy dobrej woli to nie zbrodnia, „errare humanum".

* * *

Wymienione powyżej utwory to główne filary, planety wielkiego repertuaru. Oprócz nich zapełniać będą repertuar teatrów dla żołnierzy dzieła różne może co do wartości technicznej, przepojone jednak wielkim duchem. Będą to dramatycznie mniej udatne utwory, ilustrujące wielkie chwile dziejów naszych, rozwiązujące wielkie zagadnienia społeczne. O ile budowa ich nie nazbyt udolna ale poprostu dobra, a tło historycznie wiernie nakreślone, myśl przewodnia jasna i zdrowa — to dodając do tego pewien wysiłek ze strony technicznego kierownictwa, można z całym spokojem utwory takie z korzyścią wystawiać. Należą do nich np. przeróbki dramatyczne z wielkich dzieł naszych wieszczów, z powieści wybitnych, ilustracje historyczne, jak Obrona Częstochowy, Kościuszko pod Racławicami, wspomniana powyżej Zygmuntowska trylogja Rydla, Śpiący rycerze, Krzyżacy, Pan Wołodyjowski i t. d. Jest ich bardzo dużo — trudność i odpowiedzialność leży w wyborze, zastosowaniu i wykonaniu.

Oprócz tych utworów rodzimych, które główne i pierwsze powinny zajmować miejsce, nie powinno brakować i dzieł obcych wielkich w odpowiedniem opracowaniu i podaniu. Oto miejsce dla Szekspira, Schillera, Goethego, Lessinga, Molliera, Corneilla, Scribea, Victora Hugo, Rostanda, Mereżkowskiego, Tołstoja i t. d. i t. d. Tu miejsce nawet na bardziej trudne dzieła jak Ibsen, Hauptmann, Sudermann, Maeterlinck, Shaw, Oscar Wilde i t. p. Bo trzeba zauważyć, że żołnierz polski składa się z dwu wy-

bitnie między sobą co do intelektu różniących się warstw. Jedna to rekrut ze wsi, z dziczy, że tak powiem. Im dalej na wschód i północ stoi jego chata, tem bardziej musimy się liczyć z pierwotnością jego umysłu. Druga warstwa to rekrut z dzielnic zachodnio-południowych, z zachodniej Galicji, Śląska i Poznańskiego — oraz wielkich miast i centrów kulturalno-przemysłowych. To jest półinteligent— o mniejszym może wykształceniu szkolnem, naukowem, jak otrzaskany życiowo, bardziej rozgarnięty a szczególnie bardziej wymagający. Dla tej warstwy będzie przeważnie mały repertuar, ale nie można zapominać o nich i przy wielkim. A zresztą wśród żołnierzy nie brak i ludzi o zupełnie gruntownem wykształceniu literackiem z intuicyjną choćby kulturą artystyczną.

* * *

Zanim przejdziemy dalej musimy przeprowadzić rozgraniczenie pomiędzy pojęciami repertuaru wielkiego, a małego. Do sztuki z wielkiego repertuaru przedewszystkiem zabiera się kierownictwo teatru z większym rozmachem. Chodzi tu o uruchomienie większych środków naukowych i technicznych. To już taki zwyczaj. Przed premjerą z repertuaru wielkiego artystka ma większą tremę, nawet grając mniejszą, łatwiejszą rolę, niż w sztuce z małego repertuaru. Nie jest to bynajmniej w porządku, ale to taki zwyczaj uświęcony tradycją. Przy wielkim więcej zwraca się zresztą uwagę na stronę zewnętrzną, na kostjumy i dekoracje — ale opracowuje się wszystko dla dalszej niejako perspektywy — więcej syntetycznie, w szerszych zarysach. Dla podniesienia idei przewodniej, dla jednolitości, pomija się, zaciera szczegóły, kładąc większy nacisk na charakterystykę ogólną. Dla wielkiego repertuaru niejako ściany widowni się rozstępują, scena rośnie a odległość między widzem a aktorem również się zwiększa. Dodać jeszcze należy, że w granicach samegoż wielkiego repertuaru są hierarchje, tak, że jedne sztuki cieszą się większem inne znów mniej wielkiem nabożeństwem.

A teraz repertuar mały: tu jest dopiero pole dla sprawności kierownika. W zakres jego wchodzi poprostu wszystko, co do światła rampy ma prawo lub aspiracje. O ile wielki repertuar składa się z utworów o wypróbowanej przeważnie sławie, to mały ma wagę niejako mniej obowiązującą pod względem literackim; można pozwolić sobie na doświadczenia. O ile naturalnie strona kasowa zbyt gwałtownie nie zaprotestuje — zresztą — do odważnych świat należy. Wprawdzie przy żołnierskim teatrze najtrudniej robić próby, bo złe doświadczenia są bardzo szkodliwe, szczególnie, gdy często się zdarzają, ale bez nichby nie było postępu. Więc powinno tu być miejsce przedewszystkiem dla młodych talentów, dla utworów charakterystycznych nawet o tle bardzo lokalnem. Rzeczy, któreby się na inny teren zupełnie nie dały przenieść. Tu też miejsce dla utworów powstałych wśród samegoż środowiska żołnierskiego z frontu, z okopów i z garnizonów, i to o ile możności pisanych nie przez postronnych widzów, lecz przez samychże żołnierzy. Pewną nieudolność formy uratuje szczerość i bezpośredniość, a rzeczy takie będą miały napewno wielkie powodzenie, zawierając specjalne żołnierskie dowcipy, zwroty i sytuacje z ich życia — dla innych warstw społeczeństwa czasem zupełnie niezrozumiałe. Utworów takich jest szalenie mało, ale tylko dlatego, że niema dla nich pola. Byle się scena znalazła, która je wystawi, znajdzie się ich bardzo dużo, a między niemi będą i dobre.

Poruszyłem tutaj ten specjalny dział żołnierskiego repertuaru, by na skrajnym przykładzie wykazać różnicę między wielkim a małym repertuarem. Tutaj scena i widownia zbliżają się ku sobie; wstępuje większa intymność, bliższe porozumienie między widzem a sceną. Uwaga tam na szeroki gest zwrócona, kieruje się tu na szczegóły i szczególiki, na półtony, półruchy i półuśmiechy. Widz, którego wielki repertuar powinien porywać, w podziw wprawiać i nim wstrząsać, tutaj ma głównie czuć, rozumieć, wzruszać się i zastanawiać, czasem nawet tylko bawić, śmiać się i cieszyć dla rozrywki tylko. Wielki i mały repertuar, to jak nauka publiczna i domowa.

Z tego też widać, jak ważnym jest mały repertuar i jak szczególnie starannie należy sztuki do niego wybierać. Wśród tych wszystkich półtonów i półdźwięków o dźwięk fałszywy nie trudno, a skoro chodzi o to, by widz-żołnierz czuł i odczuwał, to tych fałszów właśnie bardzo wystrzegać się trzeba.

* * *

Niema wdzięczniejszego audytorjum, jak żołnierze, z jednem tylko zastrzeżeniem — byle ich nie drażnić, nie dotykać w sposób niedelikatny ich uczucia i ambicji. Widz to, który raz ujęty, słucha pilnie, chciwie pochłania myśl i silnie odczuwa. Raz rozbawiony łatwo się śmieje. Cała sztuka polega tylko na tem, by go nie znużyć i nie zrazić. Znudzony tępieje, dotknięty lub obrażony wybucha. Jest to bowiem tłum bardziej jednolity od innego audytorjum a więc bardziej pobudliwy, a jak każdy tłum zapamiętały. Entuzjazm czy oburzenie łatwiej dochodzą do ekscesów, boć to tłum i pod względem wieku tak bardzo jednolity. Żołnierz nietylko lubi się bawić — on tak samo chętnie współczuje. Nie przemawiają wprawdzie do jego przekonania ponure, fatalistyczne tragedje, gdzie zło i cierpienie szaleją. Ale za to moralizujący dramat, poważna komedja, w których zło karę odnosi a dobro i szlachetność zostają nagrodzene, znajdują u nich najlepsze przyjęcie. To też tendencyjny, czułostkowy melodramat będzie miał największy poklask. Chodzi tu jednak o element inny jeszcze. Oto żołnierz na froncie, i w garnizonach podlega wrażeniom bardziej jednostronnym, niż mu dawało jego poprzednie życie. Wrażenia te są może silniejsze, ale zato zamknięte w kole bardziej jednostajnem. Potrzeba mu więc wrażeń raczej wielostronnych. I oto najwięcej pociąga go widowisko, które mniej umysł, a więcej zmysły zajmuje.

Barwne kostjumy, świetlne efekty, dekoracje efektowne, muzyka, śpiew, tańce i t. d. Im więcej takich środków inscenizator lub autor zgromadzić zdoła, to nawet bez względu na treść uzyska powodzenie. Tego jednak należy się wystrzegać, by łatwemi temi sposobami widza zjednywać. Widowisko takie wprawdzie chwilową da rozrywkę, lecz pustkę po sobie zostawi. Utwory o lichej treści, lub, jak się czasem zdarza, zgoła bez treści, są nawet szkodliwe. Każde wrażenie bowiem musi wywołać refleksję, a tylko bardzo wyrobionemu widzowi możemy pozwolić na rozważanie niczem nie kierowane. W tym wypadku refleksjami widza musi kierować intencja autora i nie można dozwolić na „wałęsanie się" myśli żołnierza.

Zato jednak potrzebę żołnierza rozrywki wesołej, śmiechem i piosenką łatwo wyzyskać. Będzie on się śmiał tak samo z płaskich, płytkich i trywialnych żartów, jak z udanych i głębiej pomyślanych dowcipów i sytuacji. Za śpiewem i muzyką przepada, a piosenka najlepiej w pamięci zostaje. Pomiędzy żołnierską piosenką „A gdy męża nie dostanę” albo „Zapachniał mi korafioł” a „Aniś moja Aniś” lub „Idzie od ołtarza” — jest gruba różnica w wartości, tak artystycznej, jak i myślowej. Oto ilustracja.

Żołnierz jest naturą pierwotną, więc delikatnych tonacji nie odczuwa, ale ma umysł spostrzegawczy, bystrość ducha i zmysłów w tym kierunku szczególnie wyćwiczoną, spostrzega więc bardzo nieznaczne czasem szczegóły. Małe niedopatrzenie, mała śmiesznostka, może wywołać burzę śmiechu i to czasem w najniepożądańszej chwili. Taka ledwo dostrzegalna wada może czasem „położyć” sztukę. A przytem jest to bezlitosny krytyk. Dla żartu, dla osobistej zabawy będzie drwił z wszystkiego — bez osłonek. Świętego nic dlań niema. A żart łatwo się przenosi; podchwycona śmieszność, podana dalej, ogarnie całą widownię i czasem tam, gdzie nawet śmieszności niepodobna się dopatrzeć, wydrwisz słaby punkt odkryje, atakuje i sztukę obala.

Gdzie chodzi o subtelniejsze wrażenia estetyczne, to są one u żołnierza jedynie podświadome. Jest to jednak element jednolicie młody, więc jak wogóle, tak i estetycznie bardzo wrażliwy. Wrażliwość tę łatwo wyzyskać dla celów postępu i rozwoju. Pamiętać należy jednak o tem, że jest to element zupełnie surowy pod względem form. Działać więc można formami tylko najprostszemi, najelementarniejszemi i najpowszedniejszemi. Tak np. kostjumy zbyt dokładne stylowo i historycznie chybiają celu.

Inscenizator powinien raczej starać się o zrozumiałość! Dla zrozumiałości wolno nawet zrobić odstępstwa. Do wyboru mamy tu całą skalę od szopki murarskiej do wystaw Mejningerów. Forma szopkowa będzie przecież zrozumialszą. Król bez majestatu będzie tak niezrozumiały, jak djabeł bez rogów, haczykowatego nosa i ogona. Ale i w tych pierwotnych formach nie wolno zapomnieć o czystem pięknie. Tłum żołnierski to fala wartka, co na nią rzucić to płynie. Dbać trzeba jednak, by fali nie zmącić, ani zatoru nie stworzyć.



DO CZYTELNIKÓW.

Wybuch strajku drukarskiego uniemożliwił nam z dniem 1-go października r. b. regularne wydawanie naszego pisma.

Nie czekając końca strajku, chcieliśmy wypełnić swe wobec Czytelników zobowiązania. Rozpoczynamy zatem w połowie listopada druk „Ilustracji“ w Poznaniu.

Jednak i tam wybuchły nieporozumienia drukarskie. — Przenosimy zatem w pierwszych dniach grudnia druk ponownie do Warszawy.

Po podróżowaniu z Warszawy do Poznania i z powrotem, obecnie jesteśmy w możności wydać z zaległych wskutek strajku, tylko jeden zeszyt, niniejszy grudniowy, objętości jednak nieco większej niż normalna, zaś olbrzymi numer, poświęcony Wielkopolsce, objętości około 80 stron druku, z którym Wielkopolska zrobiła nam taki zawód, zmuszeni jesteśmy przenieść na styczeń i, jako № 1, wydać go po Nowym Roku.

Wobec nowych warunków płacy i zwiększonych ogólnych kosztów, prenumerata od 1-go stycznia będzie wynosić 35 mk. kwartalnie. W IV-ym kwartale 1919 r. wynosiła jeszcze 16 mk., prenumeratorowie więc, którzy opłacili 16 mk. za kwartał IV, otrzymali w tym kwartale: 1 października № 17 w cenie Mk. 4.— i obecnie — № 18 w cenie Mk. 7, razem Mk. 11.— pozostaje zatem na dobro prenumeratorów z IV kwartału Mk. 5, które prosimy potrącić, opłacając prenumeratę na rok 1920. Czyli, że prenumerata **za I kwartał** wyniesie dla prenumeratorów zeszłorocznych, którzy wobec nas wypełnili swe zobowiązania, nie 35 a tylko marek 30.

Zaproszenie do przedpłaty podajemy na następnej stronie.

POL. STOW. WYD. „PLACÓWKA”.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Nowy-Świat 40 (Tel. 319-87)

Redaktor naczelny: WALENTY ZIELIŃSKI. Wydawcy: Pol. Stow. Wyd. „PLACÓWKA".

ROK VIII. WARSZAWA, DNIA 24 GRUDNIA 1919 ROKU. № 24.

ILUSTRACJA POLSKA

„PLACÓWKA"

(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK.

Dodatek aktualny.

NA MANOWCACH.

Godzimy się wszyscy na jedno: Sejm nasz suwerenny nie może się uporać z rosnącym stanem bezrządu, zasnuwającym ponuremi cieniami drogi naszej przyszłości. Jest nawet tego bezrządu poważnym zaczynem. Stwierdzenie tego stanu ma jednak dodatnią stronę. Pozwala na trzeźwe spojrzenie w oblicze surowej rzeczywistości, rozwiewa ostatnie złudzenia wiary w zmartwychwstały sejm, leczy wreszcie z sentymentalnych nastrojów, gubiących każdy czyn polski. Witaliśmy przecież odrodzony sejm jako ciąg dalszy wielkiego sejmu, wierzyliśmy naiwnie, iż nowi włodarze ojczyzny chłopi i robotnicy rządzić nam będą mądrze i owocnie, gdyż patrjotyczny sentymentalizm kazał nam widzieć w ludzie wszelkie cnoty i coś z króla Piasta. Tymczasem znaleźliśmy się wobec nieudolności, kryzysu, typowych objawów chorobliwego stanu demokratycznego parlamentu, który prócz wspólnych wad, właściwych wszystkim ciałom prawodawczym, wyłonionym z szerokich mas, posiada i własne, rodzime, polskie braki.

Niewątpliwie źródłem chorzenia współczesnego parlamentaryzmu, a więc i naszego — jest głosowanie powszechne.

Ztąd już płyną szerokiem korytem: wszelkie wady i niedole demokracji—zasada ludowładztwa, kult tłumu, jako ostatecznego źródła mądrości i prawa, głęboka pewność wybranych przedstawicieli o swej wszechwładzy, wiara we wszechmoc i cudotwórczość parlamentarnego prawodawstwa, niebezpieczne przekonanie iż wola większości sejmowej jest najwyższem prawem.

To też przypadkowa większość, dorwawszy się do władzy, poczyna sobie w sposób sroższy, bardziej samowładczy, niż najdzikszy, azjatycki despota.

Położenie jest tem groźniejsze, im gorszy skład przedstawicieli ludu. Lecz kogóż-to wysyła tłum do najwyższego organu władzy narodu? Swych ulubieńców. Więc święcą w ciałach prawodawczych swój tryumf — mierność i płaskość, panoszą się mizerni prowincjonalni politycy, parafjalne wielkości, rządzą drugorzędne ambicje i talenty. Na takim podłożu szaleje orgja intryg, zuchwała gra ambicji, schlebianie tłumom, załatwianie interesów osobistych i grupowych.

Miałżeby sejm nasz wznieść się na istotne wyżyny, nie wpaść w pierworodny grzech demokracji? W Polsce—gdzie przepaście między stanami są bardziej nieprzebyte, gdzie silniejsze partykularyzmy, gdzie masy w głębszym pogrążone mroku, gdzie zmysł państwowy żaden, gdzie warstwa oświecona, będąca wszędzie spoidłem i siłą kierującą, jest nikła, bezradna, zdezorganizowana. Jasnem przeto, iż sejm mógł być tylko wiernem odbiciem naszego życia, żywem echem polskiej niedoli, uosobieniem biernych lub burzliwych sił mas ludowych.

Zebrani w nim prawodawcy, nie mając zrozumienia dla zagadnień ogólno-państwowych, nie umiejąc ogarnąć wielkiej całości życia, zasklepili się w wązkiem kole drobnych spraw miejscowych i interesów grupowych. Oto posłowie chłopscy, przebiegłe osobniki, siedzące w sejmie dla pilnowania spraw rodzinnych gmin i wiosek, sprytne chodziki po urzędach, obrabiające tam interesy swych kumów i ziomków, na sprawy państwowe patrzą z punktu widzenia wsi rodzinnej i traktują je niby handel zamienny, gdzie za cenę pewnych ustępstw należy wywalczyć własne chłopskie zdobycze. Wszak państwo jest dla nich jednoznacznem z miastem i należy je, o ile można, wyzyskać i oszukać.

Oto socjaliści, zręczni szarlatani polityczni, uprawiają zawód robienia rewolucji, odwołują się co chwila do instynktów ulicy, ufając, iż wzburzone przez nich fale ludowe wyniosą ich na wierzch, dając im wreszcie władzę i zaszczyty. Oto posłowie centrum i prawicy, reprezentujący bezwład i lęk przed nowatorstwem naszych mas ludowych, bombastycznym frazesem, łezką patrjotyzmu pokrywają nieraz rzeczywistą nieudolność czynu. Wszystko to wre, ściera się, burzy, hamuje wzajemnie.

Dołączmy do tego typowe nałogi demokratyczne. Sejm nabrał rychło zapędów samowładczych, chęci przerabiania życia według popularnych wyobrażeń tłumów. Obchodzi się w sposób więcej niż bezceremonjalny z podstawowemi zasadami życia ekonomicznego, z fundamentami prawa, z ładem społecznym. Rozrzutny jak każda demokracja, wydaje lekkomyślnie miljony, nie wiele myśląc o źródłach ich pokrycia. Nie może

nawet wskutek swego nieprzygotowania uporządkować mechanizmu administracyjnego. Nie jest więc twórczym zaczynem nowego życia.

I nie może być inaczej!

Sejm, jako organ szerokich mas, reprezentuje tylko jedną stronę życia. Jest jedynie wyrazem potrzeb i zabiegów o polepszenie bytu ludu, jako też dążeń, związanych z podziałem owoców pracy. Reprezentuje to wszystko, co w życiu społecznem jest bierne i nie twórcze. Istnieje jednak druga strona życia. Jest nią dziedzina pracy i wytwórczości, dziedzina sił społecznych, utrzymujących naród i państwo. Zagadnienia związane z tym światem pracy są obce sejmowi, ponieważ obce i dalekie są tłumom, które uosabia. Czyż wobec tego sejm mógł się stać siłą i czynnikiem odrodzenia Polski? Zagadnienie odbudowy ojczyzny całkowicie w innej leży płaszczyźnie. Polska odrodzi się zbiorową pracą narodu, a nie przez krzykliwą akcję polityczną. Dlatego zaprzestańmy domagać się i oczekiwać od sejmu wzmożenia życia ekonomicznego, spotęgowania rozwoju państwa.

Skierujmy wszystkie siły i myśli nasze ku dziedzinom pracy społecznej, bezpośrednich wysiłków gospodarczych, codziennych obowiązków narodowych. Czas bowiem ostatni na skupienie, zszeregowanie wszystkich sił narodu, aby obok sejmu, a nawet poza sejmem rozbudzić pracę, wzniecić wytwórczość. Jedynie wytworzenie, ugruntowanie potężnego organizmu polskiej pracy uratuje kraj.

Wobec zwycięskich dziś prądów demagogicznych, sejm z powszechnego głosowania powołany—musi i będzie istnieć.

Ale niechaj właściwą pełni funkcję: niech będzie miejscem układów, zawieranych kompromisów między dążeniami, potrzebami mas ludowych, a wymogami świata pracy i wytwórczości. Dźwignięty wysiłkami społecznemi mechanizm pracy będzie jednocześnie najlepszą barjerą przeciw zapędom i wykolejeniom demagogicznym sejmu. Wpojonę będzie stopniowo w masy poczucie, iż są żelazne prawa życia, których łamać nie wolno. Wszelkie zaś próby akcji sejmowej, wszelkie wysiłki sklecenia większości, domagania się zwołania nowego sejmu, nie zmienią niczego w surowych prawach życia. Dlatego spoglądajmy obojętnie na pieniące się, skłębione wiry namiętności sejmowych, na kontredanse i mazurowe figury przy kojarzeniu rządu, na wszystko czem nas obficie darzy dzisiejsza polityczna chwila.

Jedynie potężny napór pracy i akcji społecznej zdoła nakłonić do posłuchu sejm i potrafi uporać się z brakami administracji i rządu.

K.

Przegląd ważniejszych wydarzeń.

(W porządku chronologicznym).

Sejm. Dnia 1 października r. b. odbyło się pierwsze po ferjach letnich posiedzenie plenarne Sejmu Ustawodawczego.

Ratyfikacja pokoju. Izba francuska ratyfikowała traktat pokojowy z Niemcami 372 głosami przeciw 53, przy wstrzymujących się od głosowania 73 deputowanych.

Uniwersytet Wileński. W Wilnie odbyła się uroczystość otwarcia Uniwersytetu imienia Stefana Batorego.

Pożar teatru Rozmaitości. Podczas pożaru teatru Rozmaitości spłonęła scena i garderoby.

Nowy minister Aprowizacji. Ministrem aprowizacji mianowany został p. Stanisław Śliwiński.

Obchód rocznicy wyzwolenia. W dniu 9 listopada obchodzono w kraju uroczyście rocznicę wyzwolenia Polski od przemocy okupantów.

Polskie zwycięstwo wyborcze na G. Śląsku. Pomimo, iż wybory do ciał samorządowych na G. Śląsku odbyły się pod największym naciskiem władz pruskich, polacy odnieśli w nich walne zwycięstwo, zyskując w okręgach wiejskich do 75%, a w miastach większych do 40%. Nadeszły wiadomości z Paryża, iż konferencja pokojowa zamierza unieważnić wybory, jako sprzecznie z traktatem pokojowym.

Umowa z rządem Sowieckim w sprawie jeńców cywilnych. W dniu 9 listopada podpisana została przez delegacje Tow. Czerwonego Krzyża polskiego i sowieckiego umowa, mocą której rząd sowiecki uwalnia wszystkich bez wyjątku obywateli Rzeczypospolitej lub ziem zajętych przez wojska polskie i wszystkich wogóle polaków uwięzionych lub zaregestrowanych, jako jeńcy cywilni.

Exposé prezesa ministrów. Prezydent ministrów wygłosił na posiedzeniu sejmu w dn. 12 listopada dawno oczekiwaną wielką mowę o polityce zewnętrznej i wewnętrznej. Mowa wywołała przychylne oceny w prasie narodowej i zdecydowaną krytykę w prasie liberalnej i socjalistycznej.

Ustawa aprowizacyjna. Uchwalenie ustawy aprowizacyjnej napotkało liczne trudności. Pierwotna ustawa sejmowa została przez komisję sejmową zmieniona i wypracowany był nowy projekt, opierający się na zasadzie wolnego handlu po dostarczeniu wyznaczonego kontygentu. W związku z tem ustąpił minister p. Minkiewicz. Nowy minister p. Śliwiński doprowadził do kompromisu między projektem Komisji a żądaniami rządu, zwiększając ilość kontygentu. Jednak na posiedzeniu sejmu w dniu 14 b. m. poprawki ministra zostały odrzucone. Wreszcie na posiedzeniu w dn. 17 listopada przyjęto ostatecznie po nowych rokowaniach ustawę według projektu rządowego.

Republika ukraińska. Przejście wojsk zachodnio ukraińskich na stronę Denikina oraz pełna powodzenia ofensywa tegoż przeciw Petlurze, spowodowały kryzys w republice ukraińskiej. Wojska polskie na wezwanie Petlury zajęły Kamieniec Podolski. Do Polski podążyła część ministrów, wyższych oficerów oraz żona Petlury. Petlura osobiście udał się podobno wgłąb Ukrainy, gdzie wybuchło udatne powstanie przeciwko Denikinowi.

Dymisja p. Skrzyńskiego. W dniu 23 listopada wice-minister spraw zagranicznych, Skrzyński, kierujący sprawami zagranicznemi w zastępstwie Paderewskiego, podał się do dymisji.

Dymisja gabinetu ministrów. Po dłuższem przesileniu, zaostrzonem dyskusją w sejmie nad exposé premjera Paderewskiego, z której wnioskować można, iż gabinet nie będzie rozporządzał większością—wszyscy ministrowie w dniu 18 listopada b. r. zgłosili swą dymisję na ręce p. Paderewskiego, który podjął się tworzenia nowego gabinetu.

Sprawa Galicji Wschodniej. W dniu 29 listopada nadeszła wiadomość, iż Rada Najwyższa międzysojusznicza wbrew żądaniu delegacji polskiejprzyznała Polsce Galicję Wschodnią tylko na 25 lat, nadając ludności jej szeroką autonomję.

Z sejmu. Wobec ustąpienia gabinetu, przerwano dyskusję nad exposé premjera Paderewskiego i odroczono posiedzenia do czasu utworzcnia nowego gabinetu.



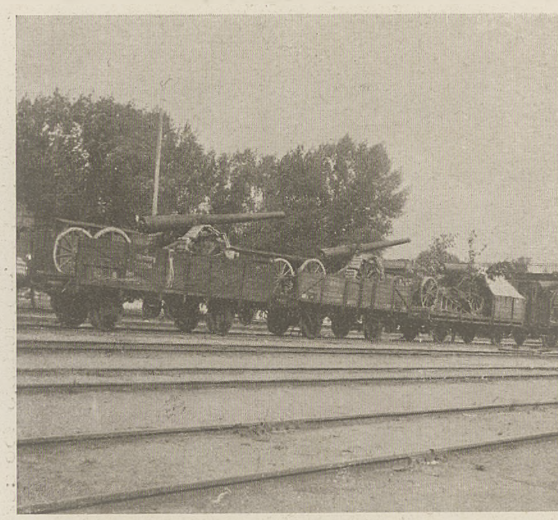
Bohaterscy bracia.
Rotmistrz Jerzy Dąbrowski i Major Władysław Dąbrowski dobrze dali się we znaki wojskom bolszewickim — w szeregu walk i potyczek.



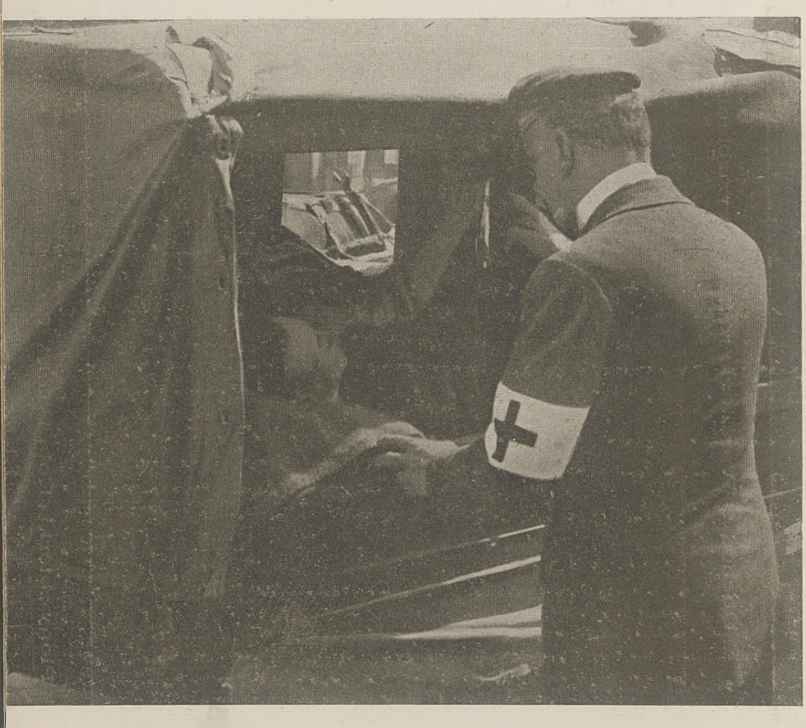
Poznański oddział sanitarny rozbija swe namioty na śniegu.



„Fasunek przyjechał". Korzystając że wioska na wzgórzu jest osłoną, żywność udaje się podwieźć do linji bojowej.



Ciężkie armaty, popularnie zwane „Longinusy", w drodze na front.





Major Mieczysław Boruta-Spiechowicz, znany obrońca Lwowa, który wkroczył obecnie ze swym pułkiem do Kamieńca-Podolskiego. (Patrz wzmiankę w tekście).

Z frontu litewsko białoruskiego. Transport ciężko rannych.





Obchód w Warszawie rocznicy wyzwolenia Polski z pod przemocy okupantów. Z lewej strony — widok ogólny na polu mokotowskiem, z prawej — delegacje.



Plony zbiórki „Koła Polek". Odzież dla żołnierza w składach przy ul. Dzielnej.

Fot. 1-sza, 2-ga i 3-cia — St. Brzozowskiego.



Rewja N-go pułku ułanów pod tężniami w Ciechocinku. Generał Haller × ze sztabem przybył na plac rewji.



Gen. Haller × przemawia. Fotografia w dole.

Dymisja prezydenta Paderewskiego. Prezydent Paderewski, po złożeniu na jego ręce dymisji wszystkich ministrów, podjął się tworzenia nowego pabinetu. Natrafił jednak na poważne trudności w skompletowaniu gabinetu. Kilka stronnictw, pomimo oficjalnego poparcia p. Paderewskiego, odmówiło udziału w gabinecie. Klub zaś posłów ludowych z Witosem na czele zajął stanowisko opozycyjne. Wobec tego prezydent Paderewski podał się do dymisji ostatecznie w dniu 10 grudnia.

Flota dla Polski. Polskę włączono między państwa uczestniczące w podziale lekkich statków niemieckich oraz uzyskać mamy pewną liczbę kanonierek i statków strażniczych pozostałych z marynarki wojennej dawnych Austro-Węgier.

Groźba nowej wojny. Niemcy, usiłowały wykorzystać to, iż senat amerykański pod wpływem senatora Lodge'a nie chce zatwierdzić traktatu pokojowego. Sekretarz konferencji pokojowej zażądał od przebywającej w Paryżu delegacji niemieckiej podpisania protokułu ratyfikacyjnego. Atoli delegacja niemiecka podpisania odmówiła i pod błahym pozorem opuściła Paryż. Wobec podobnego lekceważenia konferencji i spekulowania na rozdźwiękach w jej składzie, najwyższa rada pokojowa postanowiła zdobyć się na energję i stanowczość. Odbyto tajne posiedzenie z udziałem marszałka Foche'a i wystosowano do Niemiec groźną notę. Równocześnie zarządzono rozległe przygotowania wojenne. Wobec takiej postawy koalicji Niemcy skapitulowały i odpowiedziały na notę w tonie bardzo pojednawczym. Tym sposobem groźba wybuchu wojny minęła.

Nowy rząd Rzeczypospolitej Polskiej. Przewlekłe przesilenie rządowe zakończyło się zawarciem porozumienia między klubami Polskiego Zjednoczenia Ludowego, Polskiego Stronnictwa Ludowego i Narodowego Związku Robotniczego. Utworzona większość zawarła między sobą kompromis co do szeregu spraw z polityki wewnętrznej, kwestji społecznych i polityki zagranicznej. Inne kluby poza socjalistami przyrzekły poparcie lub życzliwą neutralność. Misji utworzenia się rządu podjął się poseł Skulski, dotychczasowy prezes klubu Zjednoczenia Ludowego.

W dniu 13 grudnia rząd się ukonstytuował w następującym składzie — prezydent ministrów, poseł Leopold Skulski, minister spraw wewnętrznych Stanisław Wojciechowski, minister spraw wojskowych — gen. por. Józef Leśniewski, minister skarbu — poseł Władysław Grabski, minister sprawiedliwości — Jan Hebdzyński, minister wyznań religijnych i oświecenia — Tadeusz Łopuszański, minister przemysłu i handlu — Antoni Olszewski, minister rolnictwa i dóbr państwowych — dr. Franciszek Bardel, minister kolei żelaznych — dr. Kazimierz Bartel, minister poczt i telegrafów — Ludwik Tółłoczko, minister robót publicznych — poseł Andrzej Kędzior, minister aprowizacji — Stanisław Śliwiński, minister pracy i opieki społecznej — Edward Pepłowski, minister b. dzielnicy pruskiej — Władysław Seyda. Mianowanie ministrów spraw zagranicznych, zdrowia publicznego oraz sztuki i kultury ma nastąpić później.

Tworzenie nowego przymierza. W połowie grudnia odbył się w Londynie zjazd Clemenceau i Lloyd George'a. Według wiadomości przedmiotem narad miała być sprawa utworzenia w Europie nowego przymierza obronnego między Anglją i Francją, koniecznego wobec zwłoki w ratyfikowaniu przez Amerykę traktatu pokojowego.

Kalendarzyk wojenny.

11 listopada. Bolszewicy po kilkudniowych przygotowaniach zaatakowali oddziały nasze wzdłuż Dźwiny na Wschód i Zachód od Połocka. Odparto ich, zadając wielkie straty.

12 listopada. Na froncie litewsko-białoruskim nieprzyjaciel atakował bezowocnie placówki nasze na południo-wschód od Głuska.

13 listopada. Na froncie litewsko-białoruskim jedynie utarczki oddziałów wywiadowczych.

14 listopada. W rejonie Połocka zmuszono ogniem artylerji do cofnięcia się nieprzyjacielski pociąg pancerny, ostrzeliwujący nasze placówki. Na froncie Wołyńskim kilkugodzinne uporczywe ataki bolszewickie na Jemilczyń zostały z ciężkiemi stratami dla nieprzyjaciela odparte.

15 listopada. Na odcinku między Koplanem a Drują wzmożona działalność bojowa piechoty i artylerji. Pozatem działalność wywiadowcza.

16 listopada. Działalność bojowa na odcinku północnym osłabła. Na południu od Borysowa oddziały nasze rozgromiły śmiałym wypadem gromadzące się siły bolszewickie, biorąc do niewoli 400 jeńców, zdobywając 4 armaty, 2 karabiny maszynowe.

17 listopada. W rejonie Połocka i Krasławki oddziały nasze przeprowadziły kilka wypadów, niszcząc tor kolejowy na północnym brzegu Dźwiny i biorąc przytem stukilkudziesięciu jeńców, jeden sztab pułku, 3 działa i 5 karabinów maszynowych. Bolszewicy bezowocnie atakowali w rejonie Lepla.

18 listopada. Bolszewicy poprowadzili zacięte ataki w rejonie Lepla, które odparto z wielkiemi dla nieprzyjaciela stratami. Również na południe od Polesia nieprzyjaciel atakował kilka razy.

19 listopada. Na frontach litewsko-białoruskim i wołyńskim poza atakiem nieprzyjacielskim pod Indryssą — działalność wywiadowcza. Naczelne Dowództwo zarządziło na prośbę atamana Petlury zajęcie w celu uniknięcia rozlewu krwi i nieporządków Kamieńca Podolskiego, opuszczonego przez wojska ukraińskie. Miasto zajęto w dn. 16 b. m. przez oddział wysłany samochodami, za którym nadeszła piechota.

20 listopada. Na odcinku poleskim silny atak bolszewicki na linję Nowosiółki—Petryków z dużemi stratami dla nieprzyjaciela odparto. Pozatem spokój.

21 listopada. Oddziały nasze śmiałym wypadem rozbiły skoncetrowane na południe od Lepla siły nieprzyjacielskie i zmusiły je do cofnięcia. Na odcinku Polesia wypady naszej piechoty. Wzięto 60 jeńców i 3 karabiny maszynowe.

22 listopada. Na wschód od Lepla udatny nasz wypad, uwieńczony rozbiciem dwóch kompanji bolszewickich. Pozatem działalność patroli wywiadowczych.

23 listopada. Oddziały nasze wykonały kilka udatnych wypadów na północny brzeg Dźwiny, biorąc 70 jeńców, 2 karabiny maszynowe, jedno działo i większą ilość materjału wojennego.

24 listopada. W rejonie Połocka wzmożona działalność artylerji nieprzyjacielskiej. Pozatem ożywiona działalność patroli wywiadowczych.

25 listopada. Między Disną a ujściem rzeki Uszacy udatny nasz wypad na północny brzeg Dźwiny, przyczem wzięto kilkudziesięciu jeńców, 2 działa z obsługą, 1 karabin maszynowy.

26 listopada. Odrzucono w kontrataku oddział nieprzyjacielski, który się przeprawił na południowy brzeg Dźwiny. Atak bolszewików na przyczółku mostowym Bobrujska został krwawo dla nieprzyjaciela odparty. Pozatem ożywiona działalność patroli wywiadowczych.

27 listopada. Pod Dźwińskiem bolszewicy po przygotowaniu artyleryjskiem bezowocnie atakowali. Pod Bobrujskiem oddziały nasze dokonały śmiałego wypadu, biorąc kilkudziesięciu jeńców i 6 karabinów maszynowych. Na odcinku Polesia i w rejonie Lepla działalność wywiadowcza.

28 listopada. Pod Dźwińskiem, Krasławką, Połockiem i na odcinku Poleskim wzmożona działalność bojowa patroli wywiadowczych. W rejonie Lepla nasze oddziały wykonały wypad, biorąc kilkunastu jeńców i jeden karabin maszynowy.

29 listopada. Na południe od Połocka i w rejonie Bobrujska stoczyły nasze oddziały kilka zaciętych potyczek, biorąc stu kilkudziesięciu jeńców i 8 karabinów maszynowych. Ataki bolszewickich patroli na przedmieście Nowogrodu Wołyńskiego odparto.

30 listopada. Pod Połockiem działalność artylerji nieprzyjacielskiej. Pozatem ożywiona działalność wywiadowcza.

1 grudnia. Po dwugodzinnem ostrzeliwaniu odcinka Łuszany-Karpenicze na froncie litewsko-białoruskim ogniem artyleryjskim, nieprzyjaciel bezowocnie atakował. W okolicy Krasława zestrzelono nieprzyjacielski samolot.

2 grudnia. Na północny zachód od Połocka nasze oddziały po przeprawieniu się na północny brzeg Dźwiny i po zniszczeniu na większej przestrzeni toru kolejowego, powróciły na dawne stanowiska. Na odcinku Polesia dokonały oddziały nasze dwóch wypadów na wschód od Uborci, biorąc kilkudziesięciu jeńców, trzy karabiny maszynowe.

Na północny wschód od Nowogrodu Wołyńskiego obrzucili nasi lotnicy skutecznie linję kolejową.

3 grudnia. Ataki nieprzyjacielskie na nasze pozycje pod Dźwińskiem odparto. Na odcinku Polesia uderzył nieprzyjaciel na Petrykowo i Nowosiółki lecz po dłuższej walce, poniósłszy wielkie straty, został odparty.

4 grudnia. Na południowy wschód od Połocka w utarczkach oddziały nasze-wzięły 3 karabiny maszynowe i kilkudziesięciu jeńców.

5 grudnia. Wypadem naszym na północny brzeg Dźwiny rozbito silny oddział bolszewicki, biorąc 50 jeńców i 2 karabiny maszynowe. Na północny zachód od Połocka i nad Ptyczą bezskutecznie bolszewicy zaatakowali nasze pozycje.

6 grudnia. Walki patroli wywiadowczych. Pozatem spokój.

7 grudnia. Wypadem pod Dryssą piechota nasza rozbiła oddział bolszewicki, biorąc jeńców i zdobycz wojenną. Atak bolszewicki na Domonowszczyznę pod Bobrujskiem odparto z wielkiemi dla nieprzyjaciela stratami.

8 grudnia. Na całym froncie spokój.

9 grudnia. Pod Połockiem ponowił nieprzyjaciel działalność bojową i uderzył bezowocnie na nasze placówki. Na odcinku Lepla wzmożona działalność patroli wywiadowczych.

10 grudnia. Nasze oddziały wywiadowcze, wysłane na Wschód od Borysowa, otoczyły i wzięły do niewoli patrol bolszewicki w składzie 1 oficera i 30 szeregowców. Miejscowe ataki bolszewickie pod Zwiahlem zostały przez nasze oddziały odparte.

11 grudnia. Pod Dźwińskiem i Połockiem wzmożona działalność bojowa patroli. Na odcinku Polesia silny oddział wywiadowczy rozbił dwa szwadrony nieprzyjacielskie i powrócił bez strat na dawne stanowisko.

12 grudnia. W utarczkach patroli wywiadowczych pod Borysowem wzięliśmy kilkunastu jeńców. Na wschód od rzeki Słucz nasz oddział kawalerji rozbił silną grupę wywiadowczą bolszewików.

13 grudnia. Na całym froncie pomyślne dla nas utarczki patroli wywiadowczych.

14 grudnia. Pod Połockiem oddział naszej piechoty, przeprawiwszy się na wschodni brzeg Dźwiny, rozbił kompanję bolszewicką i zniszczywszy tor, powrócił na swe stanowisko. Na południe od Prypeci nasze oddziały wywiadowcze rozbiły bolszewików w miasteczku Skrygałowie i wsi Ostrożance.

15 grudnia. Atak nieprzyjacielski na wieś Dworzany na północ od Dryssy został odparty. Śmiałym wypadem z Bobrujska oddziały nasze rozbiły zupełnie nieprzyjaciela i powróciły na dawne stanowiska, biorąc dwa działa z jaszczykami, uprzężą, amunicją i 200 jeńców.

Major Mieczysław Boruta-Spiechowicz.

Oto jedna z pięknych i bohaterskich postaci młodej armji polskiej. Imię jego pozostanie nazawsze związane z ponuremi chwilami krwawej inwazji ukraińców na Lwów. Znalazłszy się wówczas przypadkowo w mieście, staje natychmiast do szeregów i rychło obejmuje dowództwo „Szkoły" i II Grupy Wojsk Polskich we Lwowie. Nietylko odpiera, umacnia i rozszerza pozycje polskie na czele bohaterskiej garści młodzieży i malców, lecz i organizuje tabory, kuchnie, stację telefoniczną i t. p. Pozostaną nazawsze w pamięci niezwykłe jego czyny w dziejach iście homeryckich walk uwieńczonych wyswobodzeniem Lwowa w dzień 21 listopada. Jest niewątpliwie jednym z niewielu, komu zawdzięczamy oswobodzenie lwiego miasta.

Major Spiechowicz miał już za sobą w dziejach wojskowości polskiej chlubną kartę. Dawny strzelec, jako oficer legjonów zrasza krwią swą pole bitwy pod Rarańczą, jako dowódca kompanji 2 p. toruje drogę żelaznej brygadzie po pokoju brzeskim poprzez szeregi austryjackie, wreszcie walczy pod Kaniowem. Dziś jest dowódcą jednego z pułków na froncie galicyjskim i miał niedawno ten zasłużony zaszczyt, iż wkroczył na czele swego pułku do Kamieńca Podolskiego.

Z PRASY.

„Strażnica". Wiemy, iż dorastające pokolenie młodzieży naszej jest ożywione gorącym duchem narodowym. Lecz niezmiernie ważną jest sprawa tworzenia się w tem pokoleniu ideologji, kształtowania się kierunków, dążeń, prądów umysłowych i duchowych. Dlatego z ciekawością witać należy nowe czasopismo młodzieży polskiej „Strażnicę".

Prawda, uwydatnia się w niem pewna niejasność, nieprzemyślenie do końca postawionych sobie zagadnień, brak pogłębionej kultury umysłowej, lecz zato chce być organem odrodzenia moralnego, dążyć do tego pragnie przez doskonalenie jednostki, usiłuje przenieść na grunt współczesny tradycje filareckiej młodzieży.

Zasługuje przeto na uznanie i poparcie.

BIBLJOGRAFJA.

Stefanja Podhorska-Okołów (Łozińska). Tarcia. Warszawa, 1919. Skład główny u Gebethnera i Wolffa, Warszawa, Poznań, Lublin, Łódź.—Kraków Gebethner i Spółka. Str. 83.

Józef Relidzyński. Tryptyk listopadowy. Warszawa, 1920. Str. 27.

Józef Pogonowski. Ostatni Mohikanie Pomorscy. Łódź, 1919. Nakładem autora. Str. 32.

Teresa Łubieńska. Paź złotowłosy. Bajka. Ilustracje Jerzego Kożuchowskiego. Warszawa 1920 r. Skład główny u Gebethnera i Wolffa, Warszawa, Poznań, Lublin, Łódź, Kraków—Gebethner i S-ka. Str. 72.

Odpowiedzi Redakcji.

P. K. Bukowski, ppor.—Przesłany nam wiersz został zakwalifikowany do druku. Artykuł prosimy nadesłać.

P. A. W. G. — Wiersz p. t. „Błogosławiona krew" drukowany w piśmie naszem nie będzie.

Warunki prenumeraty na r. 1920 wraz z przesyłką:

W stolicy i w kraju: Rocznie Mk. 140 — półrocznie Mk. 70 — kwartalnie Mk. 35.
Za granicą: . . . . . „ . „ 160 — . . „ . . . „ 80 — . . „ . . . „ 40.

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE PLACÓWKA

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „P.": **Walenty Zieliński.**

Współredaktor: **Gustaw Olechowski.**

Druk GALEWSKI i DAU Warszawa, Ordynacka 6.